

**SANDRA STEFFEN**

**Na wszystko  
przyjdzie czas**

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

W Jasper Gulch, w Południowej Dakocie, z pozoru niewiele się zmieniło. Ale przecież to nie zewnętrzne zmiany interesowały Burke'a Kincaida. Zajął ostatnie wolne miejsce przy Main Street i, nim wyłączył silnik i zgasił światła, już otworzył drzwi samochodu.

Płatki śniegu szczypały go w twarz, gdy biegł do baru znajdującego się po drugiej stronie ulicy. Przed drzwiami zatrzymał się z ręką na klamce. Oto nadeszła chwila prawdy. Chwila, na którą czekał przez ostatnie dwa i pół roku.

O Boże! Całe dwa i pół roku!

Sprawi wszystkim ogromną niespodziankę. Do licha, to będzie prawdziwy szok! Przez tyle bezsennych nocy rozmyślał, jak powinien się zachować. Mógł zadzwonić lub napisać. Ale co miał jej powiedzieć? Ot, tak po prostu: - Cześć, Lily. Tu Burke. Burke Kincaid. Nie wiem, czy mnie pamiętasz, ale kilka lat temu spędziłiśmy jedną szaloną, namiętą noc i miałem nadzieję...

Właściwie, na co liczył? Czy mógł mieć nadzieję, że ona odnowi z nim znajomość? Że będzie pamiętała?

On pamiętał.

Tamtej nocy, gdy zabrakło mu benzyny i usiłował złapać okazję do najbliższego miasta, szare oczy Lily pełne były marzery, a jej jasna twarz tak łatwo się rumieniła. Zamierzał tylko skorzystać z telefonu, aby zamówić taksówkę i podjechać pod stację benzynową z kanistrem na benzynę, a potem kontynuować podróż do Oklahoma City, gdzie chciał odwiedzić przyrod-

niego brata. Ale Lily tak słodko się do niego uśmiechała, że całkiem stracił poczucie czasu, a właściwie poczucie rzeczywistości. Poszedł za nią do małej kuchni, gdzie parzyła herbatę. Pierwszy pocałunek był nieuchronny, gdy znaleźli się obok siebie w ciasnej przestrzeni. Drugi przyprawił go o zawrót głowy. A gdy zrozumiał, że był jej pierwszym kochankiem... Cóż, miała takie ciało, w którym mężczyzna się zatracił. On stracił głowę zupełnie. Oczywiście, wróciliby szybciej; gdyby tylko...

Dość. Już zbyt dużo czasu spędził na gdybaniu. Nie mógł zmienić przeszłości, tak samo jak nie mógł jej kontrolować. Liczyła się tylko teraźniejszość, a więc to, co wydarzy się w ciągu najbliższych dziesięciu minut.

Gdy wchodził do baru, nad drzwiami zadźwięczały dzwoneczki. Wewnątrz paliły się światła, a na kołkach przy drzwiach wisiało z tuzin kowbojskich kapeluszy. Przy stolikach jednak nie było nikogo. Burke skierował się ku otwartym drzwiom na zaplecze, skąd dobiegał hałas. Przystanął w progu i przebiegł wzrokiem po twarzach obecnych tu kobiet. Niestety, żadna nie była twarzą Lily.

Niski mężczyzna o przerzedzonych siwych włosach i inteligentnych niebieskich oczach podszedł do niego pospiesznie.

- Cieszę się, że udało się panu przyjechać - powiedział doktor Masey, ściskając dłoń Burke'a. - Miał pan dobrą podróż?

- Spokojną - odparł Burke, nadal poszukując wzrokiem znajomej twarzy.

- To dobrze. - Stary lekarz zdjął okulary w drucianej oprawie i dokładnie wyczyścił je białą chusteczką, którą wyjął z kieszeni. Oglądając szkła pod światło, powiedział: - Na ogół nie ma tu takiego rozcgardiaszu, ale dziś wieczorem champion rodeo, który pochodzi z naszego miasta, zamierza poprosić jedną z dziewcząt o rękę. Wiele osób specjalnie przyszło, by zobaczyć zaręczyny.

Kulejący mężczyzna, ubrany w kowbojski strój, pojawił się na podium i zawołał:

- Zajmijcie swoje miejsca, bym mógł rozpocząć przedstawienie!

Zastukały kowbojskie buty, zatrzeszczały krzesła. Burke usiadł obok doktora Maseya i nadal rozglądał się po sali. Zauważył wiele nie ogolonych twarzy, mnóstwo flanelowych koszul i spranego dżinsu oraz odcisków od kowbojskich kapeluszy na głowach zgromadzonych tu mężczyzn. Siedząca w piątym rzędzie z tyłu kobieta lekko odwróciła głowę.

Lily!

Hałas ucichł, a myśli Burke'a jakby zamarły. Gdzieś z oddali dobiegały go stłumione słowa doktora Maseya, który wyjaśniał, że miasteczko Jasper Gulch wymierało z powodu braku kobiet i rada miejska trzy lata temu zdecydowała się ogłosić to wszem i wobec. Wiele dziewczyn odpowiedziało na ogłoszenie, ale ich imiona nie miały teraz dla Burke'a żadnego znaczenia, całą bowiem uwagę skupił na kobiecie, która się tu wychowała.

Okazało się, że we wspomnieniach nie oddawał jej całej sprawiedliwości. Miała jasną skórę, tak jak pamiętał, ale nieco krótsze włosy, sięgające do ramion i pogodny, śliczny uśmiech. Czy to możliwe, by przez-tyle lat nikt nie zauważył tu jej urody? Czyżby ci kowboje i ranczerzy byli całkiem ślepi?

Chciał zawołać ją po imieniu, już wyobrażał sobie jej uśmiech, gdy go rozpozna... Ledwie zdołał pochylić się do przodu, gdy mężczyzna stojący na środku sali powiedział:

- Louetto, chodź tu, kochanie.

Burke był zdumiony widząc, że Lily wstaje. Nim przecisnęła się na środek sali, paraliżująca myśl zaświtała mu w głowie, a uśmiech zamarł na ustach.

- O co tu chodzi?

- To Wes Stryker - wyjaśnił doktor Masey. - Dwa lata temu

wygrał narodowe zawody rodeo. W zeszłym roku z powodu złamanej nogi na stałe wrócił do domu. Zresztą trudno mu się dziwić. Trofea i nagrody to przecież nic w porównaniu z miłością odpowiedniej kobiety.

- Ale co to ma wspólnego z Lily?

Pytanie Burke'a zawisło w powietrzu. Tłum ucichł, gdy Wes Stryker z trudem przyklęknął i przyciskając kapelusz do piersi, sięgnął po rękę Lily.

- Wiem, że rzadko się widywaliśmy od czasu dzieciństwa - powiedział były champion rodeo - oraz że mam więcej siniaków i naderwanych ścięgien niż mężczyźni starsi ode mnie, ale umiem ciężko pracować i będę zaszczycony, jeśli zgodzisz się zostać moją żoną. Co ty na to? Wyjdiesz za mnie, Louetta?

Dlaczego ten kowboj nazywa Lily - Louetta? Burke z trudem przełknął ślinę i wstał.

- To będzie trudne - powiedział tak głośno, że wszyscy zwrócili na niego oczy.

- Co on mówi? Kto to jest?

Burke, napotkawszy zdziwione spojrzenie Lily, powtórzył nieco ciszej:

- To będzie trudne, ponieważ obiecałaś, że poślubisz mnie.

Louetta Graham nie mogła oderwać wzroku od mężczyzny stojącego w głębi sali. Biała koszula, szare wełniane spodnie, rozwiane wiatrem włosy. Burke!

- Co ty tutaj robisz? - zapytała i poczuła, jak mocno i szybko bije jej serce.

Burke, nie odrywając oczu od jej twarzy, wyszedł na środek sali.

- Obiecałem ci, że wrócę - oświadczył.

Tak, obiecał, że wróci najdalej za dwa miesiące, pomyślała Louetta, jednocześnie chwytając się prawą ręką za szyję. To właśnie obiecał i od tamtej pory minęło dwa i pół roku.

- Czy dotrzymujesz obietnic? - zapytał ciszej Burke.

Poczuła, że nadzieja, niczym miękka ciepła dłoń, objęła jej serce. Oczami duszy zobaczyła Burke'a takim, jakim był owej kwietniowej nocy, zmęczonego długim marszem do miasta, a jednocześnie nieprawdopodobnie pociągającego i przystojnego. Tamtej nocy dała się uwieść jego orzechowym oczom, zatraciła się w jego czułym uśmiechu. Teraz działo się z nią to samo. Znow się w nim zatraciła - centymetr po centymetrze.

- Co ty wygadujesz? - obruszył się Wes Stryker, z trudem wstając.

- Raczej, co ty wygadujesz? - odparował Burke.

Louetta nie mogła uwierzyć w to, co działo się na jej oczach. Wiedziała, że Wes Stryker zamierza dziś wieczorem poprosić o jej rękę. Od dawna ćwiczyła sobie odpowiedź. Wes był dobrą partią. Wszyscy tak uważali. Odkąd po skończeniu szkoły zajął się występami na rodeo, przyjeżdżał do Jasper Gulch kilka razy w roku. Ostatnią próbę poskromienia dzikiego ogiera przypłacił złamaną nogą i wybitym barkiem, wrócił więc do domu na dobre. Doszedł do wniosku, że w wieku trzydziestu pięciu lat jest zbyt stary i zmęczony, by nadal występować na rodeo. Szybko rozeszły się plotki, że szuka żony - wiernej towarzyszki życia.

Louetta była naprawdę zaskoczona, gdy zaczął się koło niej kręcić. I choć Wes Stryker nie obudził jej serca do życia, to przecież go nie złamał.

To Burke Kincaid znacznie wcześniej sprawił, że serce jej pękło na dwoje.

- Czy wyjdiesz za mnie? - Głos Wesa przyciągnął jej spojrzenie. - Wyjdiesz? - powtórzył ochryple.

- Ja... - Łzy zamgliły jej oczy, poczuła, że ściskają w gardle. - Myślałam, że... Ale teraz nie wiem. - Zamknęła usta i bezradnie wzruszyła ramionami.

- Masz zamiar wyjść za niego? - spytał Wes.

Przeniosła wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Burke bacznie ją obserwował. Orzechowe oczy w przystojnej, męskiej twarzy wydawały się z bliska bardzo ciemne. Zbladła, zaczerwieniła się i znów bezradnie wzruszyła ramionami.

- Dostałeś kosza, Stryker - oświadczył nieoczekiwanie Boomer Brown, siedzący w drugim rzędzie. - Wygląda na to, że nie skończyłeś jeszcze z rodeo.

- To prawda - dodał ktoś inny.

- No i kto twierdzi, że w małych miasteczkach nigdy nic się nie dzieje? Przecież zrobiło się bardzo interesująco!

Oszołomienie zniknęło na chwilę z twarzy Wesa, a uśmiech rozjaśnił jego zmęczone rysy.

- Może właśnie to zalecił mi lekarz? - powiedział z filuterynym wyrazem twarzy.

Któs z tłumu odezwał się wystarczająco głośno, by Louetta go usłyszała:

- Patrzcie państwo, dziewczyna, która, jakby się zdawało, do trzech nie potrafi zliczyć, ma dwóch, naprawdę dwóch konkurentów!

- O Boże! - szepnęła Louetta, rozpaczliwie poszukując miejsca, gdzie mogłaby usiąść.

- O Boże! - zawtórowała jej Isabell Pruitt swym piskliwym głosem. - Wygląda na to, że Louetta zamierza zemdleć. Yed, podaj jej krzesło. Pospiesz się!

Louetta opadła na krzesło i natychmiast pochyliła się do przodu, opierając głowę na kolanach.

- W porządku, w porządku - zapewniała Isabell, klepiąc ją po ramieniu. - Już dobrze. Weź głęboki oddech, jeszcze jeden. Och, gdyby twoja matka tu była, na pewno miałyby sole trzeźwiące. Doktorze Masey!

Louetta, jak zwykle, gdy wspomiano jej matkę, poczuła silne ukłucie bólu.

- Jestem pewna, że mama zabrała swoje pachnące sole prosto do nieba. Już w porządku, Isabell, myślę, że najgorsze powoli mija.

Co prawda jej własny głos docierał do niej jakby zza ściany, ale wkrótce naprawdę odzyskała jasność umysłu, a serce zaczęło bić w normalnym tempie. Wyprostowała plecy i uśmiechnęła się niepewnie do Isabell. W głowie wirowały jej jeszcze dopiero co usłyszane wyznania, ale postanowiła dzielnie trzymać się aż do końca tego niesamowitego wieczoru. Potem da upust emocjom. Z pewnością czekało ją załamanie nerwowe. Gdyby tylko udało jej się odprawić Burke'a... Może wówczas wszystko wróciłoby do normy? Będzie nadal prowadzić swój niedawno otwarty bar, spotykać się z przyjaciółmi, chodzić na zebrania do Stowarzyszenia Kobiet i organizować doroczne jasełka na Boże Narodzenie. Będzie również czas na decyzję, czy ma poślubić mężczyznę, którego nie kochała...

Powinna teraz wziąć głęboki oddech. I jeszcze jeden. Gdy spotkanie dobiegnie końca, powie Burke'owi, co myśli o nim i jego nieoczekiwanej wizycie w Jasper Gulch. A potem wróci do siebie, zamknie drzwi na klucz i schowa głowę pod kocem.

Na szczęście zebrania mieszkańców Jasper Gulch rzadko trwały długo. Luke Carson prosił teraz o spokój. Tak jak przypuszczała, wszyscy zajmą się bieżącymi sprawami. Doszło do sprzeczki pomiędzy Bonnie Trumble, właścicielką zakładu kosmetycznego, i Edith Ferguson, którą uważała, że zarząd miasta powinien wydać zarządzenie dotyczące kolorów, na jakie można malować fasady domów przy głównej ulicy.

- Zakład kosmetyczny jest upiornie zielony! - zakończyła Edith. - Jest okropny!

Louetcie, należącej do kobiet nieśmiałych, które przez całe życie podpierały ściany na zabawach, podobał się ten kolor i ta nieco wyzywająca cecha salonu piękności, mimo że jego fasada



wyróżniała się teraz na całej ulicy. Uważała, że ma siłę wyrazu i przykuwa uwagę. Na szczęście spór przesunięto na następne zebranie, co oznaczało, że dzisiejsze właściwie dobiegło końca.

- Nim się rozejdziemy - zagrział Lukę Carson stojący na podium - doktor Masey chciałby jeszcze coś powiedzieć.

Zaskrzypiały krzesła; zebrani zmienili pozycje, skrzyżowali ramiona na piersiach. Louetta stłumiła jęk, ponieważ uroczy, kochany doktor był nieprawdopodobnym gadułą i jego wystąpienia ciągnęły się w nieskończoność. Dziś wieczór z pewnością nie zrobi wyjątku.

Doktor Masey wyjął z kieszeni białą chusteczkę i długo polerował nią druciane okulary. Gdy zaczął od tego, że od pięćdziesięciu lat jest tu lekarzem, Louetta przymknęła oczy i westchnęła.

Kiedy doszedł do historii, jak to podczas zadymki w pięćdziesiątym ósmym roku sprowadził na świat Neila Andersona, przerwał mu Cletus McCully:

- Do licha, mógłbyś zagadać nas na śmierć. A ja chciałbym jeszcze trochę pożyć. Może przejdiesz wreszcie do rzeczy?

Innym razem Louetta z pewnością by się uśmiechnęła, ale teraz, gdy zerknęła przez ramię i napotkała wzrok Burke'a, nie potrafiła się uśmiechnąć. I nie uśmiechnęłaby się, nawet gdyby jej życie od tego zależało.

- Burke! - zawołał Miles Masey. - Chodź tu do mnie!

Co Burke mógł mieć wspólnego z doktorem Maseyem?

Na sali zapadła cisza. Na pewno Louetta nie była jedyną kobietą, której serce zabiło szybciej na widok Burke'a - przystojnego mężczyzny o szerokich ramionach, ubranego w obcisłe, ciemnoszare spodnie. Najprawdopodobniej jednak była jedyną kobietą, która unikała jego wzroku.

- Jak wszyscy wiecie - oświadczył doktor Masey - od pewnego czasu szukałem kogoś do pomocy. Cieszę się, że dziś mogę

go wam przedstawić! Poznajcie mojego nowego partnera, doktora Burke'a Kincaida!

Louetta gwałtownie uniosła głowę, a serce podeszło jej do gardła.

- Co powiedział doktor? - spytała niepewnie młodą kobietę, Lisę McCully, która siedziała obok niej.

- Wygląda na to, że doktor Masey wziął jednego z twoich narzeczonych na swojego partnera - szepnęła Lisa.

- Jednego z moich...?

Louette zadudniło w uszach, jakby obok przejeżdżał pociąg towarowy, potem pociemniało jej przed oczami i miękko osunęła się na krzesło.

Gdy odzyskała przytomność, usłyszała gwar głosów i zobaczyła pochylone nad sobą zatroskane twarze.

- Zemdląca?

- Wszystko w porządku.

- Skąd wiesz? Nie jesteś przecież lekarzem.

- Chłopcy, przepuście mnie!

Louetta rozpoznała głos doktora Maseya, a po chwili ujrzała nad sobą jego dobroduszną twarz, obok zaś twarze Burke'a i Wesa w niewielkiej odległości od siebie.

- Dobrze się czujesz? - Głos Burke'a był aksamitny, dokładnie taki, jak owej nocy ponad dwa lata temu.

- Oczywiście, że dobrze się czuje - odpowiedział mu Wes.

- Dobrze się czujesz, prawda?

Louetta skinęła głową i próbowała usiąść. Czyżby naprawdę zemdląca w obecności tych wszystkich ludzi? O Boże, co za wstyd!

- Już dobrze - powiedziała słabym głosem. - Chciałabym wrócić do domu.

Nagle Burke pochylił się niżej, wsunął dłonie pod jej plecy

i unióś ją do góry. Podsunięta do góry, ciemnoczerwona spódnica odsłoniła uda, biały sweterek przesunął się na bok, a twarz Louetty znalazła się w odległości zaledwie kilkunastu centymetrów od jego twarzy.

- Proszę... - zaprotestowała. - Mogę pójść sama.

- Na litość boską! - wybuchła Isabell. - Zostaw ją wreszcie! Czy nie dość już narozrabiałeś?

Ponad głową Louetty Burke obrzucił starszą kobietę złym wzrokiem. Nie zrobił przecież nic. Nawet nie pocałował Lily, czy raczej Louetty, czy jak tam jej było na imię. I nie zdążył nic wyjaśnić.

Głos Wesa Strykera przerwał jego myśli.

- Powiedziała ci przecież, że może iść sama. - Wes, nie spuszczać oczu z Burke'a, zbliżył się do nich o krok.

- Dajcie już spokój - upomniała ich kobieta o dużych brązowych oczach, niskim głosem i mocno wystającym brzuchu, świadczącym, że niebawem będzie rodzić. - Może lepiej postrzelajcie sobie do butelek na płocie albo zmierzcie się na pięści, lub coś w tym stylu, jeśli chcecie naprawdę walczyć o kobietę. Melody, Jillian i ja zabieramy ją stąd. Zgoda, Louetto?

Burke zauważył lekki rumieniec na policzkach Lily, co jako lekarz przyjął z zadowoleniem. Ale jako mężczyzna nie chciał wypuścić jej z objęć, oderwać od niej wzroku. Skoro jednak lekkim skinieniem głowy wyraziła zgodę na propozycję kobiety w ciąży, nie miał wyboru. Postawił ją ostrożnie na podłodze i wolno odsunął się na bok, a dwie kobiety z dwóch stron wzięły ją pod rękę.

Setki razy wyobrażał sobie jej reakcję na jego powrót. I chciał, by przyjęła go z otwartymi ramionami. Wystarczyłby lekki uśmiech i nieśmiałe powitanie. Powinien się jednak domyślić, że to nie będzie łatwe. Nic, co zdarzyło się przez ostatnie dwa i pół roku, nie było łatwe.

Nagle Lily przystanąła w drzwiach i zerknęła przez ramię, odważnie napotykając jego wzrok. Usta jej drżały. I choć nie uśmiechnęła się, przynajmniej wymienili spojrzenia.

Burke czuł na sobie wzrok wszystkich obecnych tu ludzi, wiedział jednak, że nie jest to ani czas, ani miejsce, by powiedzieć to, co cisnęło mu się na usta. Odpowiedział więc tylko poważnym spojrzeniem na jej pytający wzrok i rzekł:

- Porozmawiamy później.

Lily drgnęła nerwowo, a potem pozwoliła, by dwie kobiety wyprowadziły ją z sali.

- Jak na lekarza, brak ci poczucia czasu.

Burke zerknął na mężczyznę, który wypowiedział te słowa. Wes Stryker wyglądał dokładnie tak, jak powinien wyglądać zwycięzca rodeo. Miał wystające kości policzkowe, okolone zmarszczkami lekko przymrużone oczy, twarz wyrazistą, wychudzoną. Burke zaczął się zastanawiać, czy Lily kocha tego mężczyznę. Nagle przemknęło mu przez głowę, czy to możliwe, by nadal była w nim zakochana. Odetchnął głęboko i wyprostował plecy.

- Być może - odpowiedział Strykerowi. - Ale powiadają, że świetnie opiekuję się pacjentami leżącymi w łóżku.

- Bardziej interesują mnie twoje łóżkowe maniery - burknął Stryker.

- Przepraszam, ale nie plotkuję na te tematy.

Stryker nieznacznie uniośł brwi. Burke zauważył na jego twarzy cień szacunku pomieszanego z zazdrością.

- Powinieneś usunąć się na bok, Wes - wtrącił ktoś stojący z tyłu.

- Wygląda na to, że Boomer miał rację. - Wes pokiwał głową. - Moje walki jeszcze się nie skończyły.

Burke przyjął wyzwanie wraz z wyciągniętą ręką Wesa. Wes miał kościstą dłoń o szorstkim naskórku. Uścisk jej był bardzo mocny.

- Niech wygra lepszy - burknął Wes.

Burke sztywno skinał głową i odwzajemnił uścisk.

- Zgoda - powiedział, zastanawiając się, czyje kości pękną pierwsze.

I staliby tak, ściskając sobie ręce, chyba przez całą noc, gdyby doktor Masey oraz mężczyzna z siwymi wąsami, ubrany w wytarte dżinsy na szelkach, nie przerwali tego przedstawienia.

Mężczyzna ów w pewnej chwili strzelił z szelki i zakołysał się do tyłu na obcasach podniszczonych kowbojskich butów.

- Nazywam się Cletus McGully - przedstawił się. - Jesteście z Wesem równi sobie. To będzie interesujący pojedynek. Powiedz nam, chłopcze, skąd pochodzisz?

Burke wytrzymał badawczy wzrok Cletusa.

- Z północnego Waszyngtonu - odparł. - Praktykowałem w Seattle.

- A więc poznałeś Louette, gdy w zeszłym roku pojechała z matką do szpitala onkologicznego? Cóż, i tak na nic się to nie zdało. Opal umarła, tak jak miała umrzeć. Sama wychowywała Louette, wiesz o tym?

Nie, Burke nie miał o tym pojęcia. I nie tak poznał Louette. Ale Cletus McCully nie musiał o tym wiedzieć. Wytrzymał twarde spojrzenie starszego mężczyzny jeszcze przez kilka sekund, a potem po prostu wyszedł w towarzystwie miejscowego lekarza.

Płatki śniegu padały teraz gęściej i robiło się coraz zimniej. Kilku mężczyzn przeszło przez jezdnię i zniknęło we wnętrzu małej knajpki naprzeciwko. Burke zerknął do góry w oświetlone okno mieszkania nad barem.

Śledząc jego spojrzenie, doktor Masey skwitował:

- Wygląda na to, że masz dodatkowe powody, by objąć tutaj posadę.

Burke skinął głową, ale nic nie wyjaśnił.

Przedłużająca się cisza nie zniechęciła starego lekarza do dalszych indagacji.

- Nieważne, co mówią chłopcy, ale ja nie jestem tym zachwycony. Dwóch mężczyzn. Jedna kobieta. A więc muszą być kłopoty. Wcale mi się to nie podoba.

- Ona nie jest zwyczajną kobietą - odezwał się cicho Burke.

- Ty ją kochasz.

Choć było to stwierdzenie faktu, a nie pytanie, Burke skinął lekko głową.

- Do chwili gdy ją poznałem, nawet nie sądziłem, że jestem do tego zdolny. Tak, kocham ją. Zakochałem się od pierwszego wejrzenia.

- Czeka cię piekło, jeśli ją zranisz.

Burke wciągnął w płuca zimne grudniowe powietrze. Nie mógł być zły na starego lekarza za ostrzeżenie. Miles Masey nie był głupi. Wszyscy zresztą widzieli, jak Lily zareagowała na przyjazd Burke'a. Ludzie nie mdleją bez powodu. Czyżby już ją skrzywdził? Och, przecież tego nie chciał. Miał powody... Ale czy ona kiedykolwiek zechce mu wybaczyć?

Ukrywając twarz w kołnierzu czarnego płaszcza, wyjął z wyciągniętej ręki doktora Maseya klucz do swego nowego mieszkania. Postanowił, że gdy już się rozpakuje, poszuka Lily, czy raczej Louetty. I postara się wszystko jej wyjaśnić.

## ROZDZIAŁ DRUGI

- Czyżbym słyszała kroki na schodach?

Louetta zerwała z czoła zimny ręcznik i usiadła, spuszcżając nogi z obitej kwiecistym materiałem sofę. Udawała, że nie widzi zaciekawionych spojrzeń, które wymieniały między sobą Lisa McCully, Melody i Jillian Carson.

- Nic nie słyszałam - powiedziała Melody, wyglądając na schody.

- Ja również - zgodziła się Lisa, zmieniając pozycję na bujanym fotelu.

Jillian po prostu uśmiechnęła się do Louetty, kiwając potwierdzająco głową.

Louetta, wyraźnie przygnębiona, ukryła twarz w dłoniach. Oczywiście, kroki na schodach rozlegały się wielokrotnie, ponieważ Isabell, doktor Masey oraz kilka kobiet ze Stowarzyszenia Kobiet przyszło, by sprawdzić, jak się miewa. Ale ostatni gość wpadł przeszło godzinę temu i teraz Louetta po prostu zaczynała fantazjować.

- O Boże, jestem wykończona - skomentowała. - I pewnie wszyscy w mieście mają mnie na językach!

- W Jasper Gulch wszyscy plotkują o wszystkich - pocieszyła przyjaciółkę Melody. Usiadła na poduszce na podłodze i zaczęła się bawić kosmykiem swych długich do ramion włosów. - Ludzie nadal opowiadają, jak ubrana w buty na platformach i minispódniczkę szłam dać odprawę Claytowi.

- A gdy rozeszły się plotki, że chcemy mieć z Wyattem

dziecko - dodała z błyskiem w oczach Lisa - co chwila ktoś zatrzymywał mnie na ulicy i pytał, czy już jestem w ciąży. I nie uwierzycie, jakie światłe rady dostawałam! Mertyl Gentry na przykład powiedziała mi, że jeśli chcę zająć w ciąży, powinnam stać w kącie na głowie po... No wiecie po czym.

Jillian Carson odsunęła kosmyk rudych włosów z czoła i pochyliła się do przodu.

- I dzięki temu urodził się Junior?

- Junior urodził się dzięki filozofii swego ojca - odpowiedziała ze śmiechem Lisa. - Jeśli nie wyjdzie ci po raz pierwszy, próbuj dalej!

Nawet Louetta zapomniała na chwilę o swoich zmartwie- niach i wybuchła śmiechem.

Nim Jillian i Lisa przeprowadziły się do Jasper Gulch, jedy- nymi przyjaciółkami Louetty były o wiele od niej starsze kobie- ty z miejscowego Stowarzyszenia Kobiet. Z kolei Melody była o trzy lata młodsza, toteż dobrą przyjaciółką Louetty została dopiero kilka lat temu.

Lisa, Melody i Jillian wniosły radość do życia Louetty, ale to właśnie z Melody była najbliżej. Obydwie dorastały w śro- dowisku prostych kowbojów i ranczerów. I na obydwie nikt przez lata nie zwracał uwagi. Melody w końcu udało się zapro- wadzić do ołtarza mężczyznę, którego kochała. Teraz z Claytem Carsonem miała troje dzieci: jedenastoletnią Haley oraz dwóch małych chłopców: Jordana i Slade'a.

Z początku Louetta sądziła, że posiadanie kilku cudownych przyjaciół to wszystko, na co mogła w życiu liczyć. Właściwie nawet to przekraczało jej marzenia.

Ale potem w mieście pojawił się Burke... Słyszała o miłości od pierwszego wejrzenia, o oczarowaniu, które ścinało z nóg, gdy pojawiał się ten jeden jedyny mężczyzna. Burke stanął na progu jej domu, by skorzystać z telefonu. Eto dzisiejszego dnia



nie potrafiła sobie przypomnieć, co takiego wydarzyło się pomiędzy parzeniem herbaty a... O Boże, nadal rumieniła się, gdy przypominała sobie swoje zachowanie.

Bez wątpienia zakochała się. I sądziła, że on również...

- Zejdź na ziemię, Louetto!

- Albo rozmyśla o mężczyźnie, albo o...

- O seksie. Ona na pewno myśli o seksie.

Gdy Louetta odzyskała jasność widzenia, wyraz twarzy jej przyjaciółek wystarczył, by znów się zarumieniła. Melody, Jillian i Lisa były naprawdę darem losu. Co do tego nie miała wątpliwości. Ale w tej chwili wykazywały zbytnią domyślność.

- Czyżbym słyszała jakieś kroki na schodach? - spytała znów Louetta, intensywnie nasłuchując.

Lisa raz jeszcze podniosła się i sprawdziła.

- Naprawdę przykro mi - wyznała ze skrucą Louetta. - Doceniam wszystko, co dla mnie zrobiliście. Czuję się już dobrze. Myślę, że możecie wrócić do domów, do swoich mężów i ... - popatrzyła na Jillian i Melody - do waszych dzieci.

Musiała jeszcze kilka razy powtórzyć, że nie zamierza więcej mdleć, by w końcu trzy kobiety wyszły.

Gdy już została sama, zaczęła nerwowo chodzić po swoim małym mieszkaniu. Od czasu do czasu odchyłała żaluzje i wyglądała na Main Street. Przed Crazy Horse Saloon stało jeszcze kilka samochodów, ale nie było widać żywego ducha.

Choć pora roku była inna, ulica wyglądała tak samo jak owej pamiętnej nocy ponad dwa lata temu. Z rękami skrzyżowanymi na piersi Louetta spoglądała wówczas przez okno, gdy nagle spostrzegła mężczyznę idącego środkiem ulicy. Szedł innym krokiem niż mieszkający tu kowboje i ranczerzy, a wiatr rozwiewał jego ciemne włosy. Otworzyła okno i, o dziwo, bez skrępowania wychyliła się na zewnątrz.

- Mogę panu pomóc? - zawołała.

Przystanął, rozejrzał się wokół i wolno uniósł głowę. Ubrany był w ciemne spodnie i długi czarny płaszcz. Był wysoki, miał barczyste ramiona, a jego sylwetka rzucała herkulesowy cień.

- Przed samym miastem skończyła mi się benzyna - powiedział.

Coś dziwnego musiało być w powietrzu, a może w oczach nieznajomego, ponieważ nagle Louetta poczuła się jak piękna księżniczka z jakiejś znanej baśni.

- Nie mam samochodu, ale mogę pójść do ratusza, gdzie odbywa się wesele i poprosić kogoś, by podwiózł pana na stację, jeśli to tylko kwestia benzyny.

Wzruszył lekko ramionami i podszedł do jej okna. Zniżając głos, jakby powierzał jej sekret, powiedział:

- Wiem, że mężczyzna powinien znać się na mechanice, ale ja nienawidzę silników. Czy mogłaby mi pani powiedzieć, jak dostać się do najbliższej stacji?

W sercu Louetty zatrzepotały motyle. Cała chmara motyli. Poczuła się dziwnie ośmielona, odważna, nawet zadziorna.

- O tej porze najbliższa stacja jest zamknięta - odparła.  
- Ale może pan zadzwonić ode mnie do pomocy drogowej w Pierre.

A potem po prostu wpuściła go do mieszkania. Sądziła, że nastąpią długie chwile napiętej ciszy. Ostatecznie była Louettą Graham, najbardziej nieśmiałą kobietą na tej planecie. Ale uśmiech, którym ją obdarzył, przełamał jej chorobliwą nieśmiałość.

Musiał być czarodziejem. Tak, to była magia. Tylko w ten sposób mogła wyjaśnić fakt, że potrafiła zrobić to, co zrobiła - rozmawiać z nim swobodnie, śmiać się, i w końcu... kochać się z nim. Tej nocy po prostu się zakochała. W dodatku w całym nieznajomym mężczyźnie. Nie miała co do tego wątpliwości. Wątpliwości ogarnęły ją później, gdy nie wrócił.

A obiecał, że wróci, jak tylko załatwi ważne interesy. Uwierzyła mu.

- Zajmie mi to dwa miesiące, nie dłużej - szepnął, całując ją na pożegnanie.

Uwierzyła mu całym sercem. Cierpliwie czekała dwa miesiące, ale potem, gdy dni zamieniały się w tygodnie, a tygodnie w miesiące, serce jej zostało złamane, a marzenia znikły. Po kilku miesiącach bezskutecznego wyczekiwania ogarnęło ją uczucie kompletnej, dojmującej samotności.

Była naiwna jak na trzydziestotrzyletnią kobietę, choć zrazu zdawało jej się, że po nocy spędzonej z Burke'em niebywale dojrzała.

Patrząc teraz w oświetlone okna Crazy Horse Saloon, znajdującego się po drugiej stronie ulicy, Louetta zdawała sobie sprawę, że *ponowne* pojawienie się Burke'a obudziło w niej wiele stłumionych już uczuć. Nie była w stanie ugasić małej isierki nadziei, która zapłonęła w jej sercu. To stało się dwie godziny temu. Obiecał, że porozmawiają później... Ale, jak widać, nie zamierzał przyjść. Do Ucha, kiedy ona nareszcie to zrozumie?

Powtarzała sobie w duchu, że zrozumiała. Nie była przecież tą samą kobietą co dwa i pół roku temu. Dzięki Bogu. Dzień po dniu, godzina po godzinie, stawała się coraz bardziej twarda i zdecydowana. I zdała sobie sprawę, że nowa Louetta Graham bardzo jej się podoba. Nadal była nieśmiała, ale zdecydowanie mniej zamknięta w sobie. W końcu uniezależniła się finansowo. Kupiła mały bar i mieszkanie. Powoli stawała się aktywnym przedsiębiorczym członkiem społeczeństwa. Zdobyła przyjaciół i postawiła sobie określone cele w życiu. Niektóre nawet dalekosiężne. I przestała rumienić się na wspomnienie tamtej nocy spędzonej z przystojnym panem Kincaidem. Zresztą obiecała sobie: żadnych wspomnień. Żadnych snów na jawie. Żadnych marzeń.

Koniec więc z siedzeniem jak na szpilkach i wsłuchiowaniem się w odgłosy dochodzące ze schodów.

- Witaj, Lily!

Odwróciła się na pięcie. Gwałtownym ruchem dotknęła szyi i wolno opuściła rękę. Na progu stał Burke, a jego rosła postać podświetlona światłem płynącym z holu rzucała cień na ścianę.

Louetta przymknęła oczy. Gdy znów je otworzyła, a on nadal tam stał, zapragnęła, by serce jej wróciło na właściwe miejsce. Niech go licha, w okamgnieniu zapomniała o wszystkich swoich przysięgach! Niech go licha...

- Czy mogę wejść?

Bezwiednie skinęła głową, ale ze ściśniętego gardła nie mogła wydobyć słowa.

- Jakoś tu inaczej - powiedział, rzucając płaszcz na oparcie krzesła. - Ale to urządzenie chyba bardziej do ciebie pasuje.

Mieszkała w tym mieszkaniu od trzech lat, ale kupiła je zaledwie rok temu. Kupiła również bar za pieniądze, które zostawiła jej w spadku matka. Pochłonał ją remont - malowanie i tapetowanie. Dzięki temu przetrwała najcięższy okres żałoby.

Ku własnemu zdziwieniu odkryła w sobie talent do urządzania wnętrz. Teraz była bardzo dumna ze swego domu.

- Jak się czujesz?

Zapewne chodziło mu o epizod z omdleniem, o którym już całkiem zapomniała.

- Doskonale, a ty? Wyglądasz całkiem nieźle jak na kogoś, kto właśnie obudził się ze śpiączki albo został wypuszczony z więzienia.

Sztucznie skinął głową.

- Zasługuję na więzienie, to fakt. Myślałem, żeby zadzwonić... Albo napisać. Ale doszedłem do wniosku, że łatwiej mi przyjdzie prosić o przebaczenie, niż się usprawiedliwiać.

Louetta stała nieruchomo, mocując się z własnym sumie-

niem. Powinna poprosić go, by usiadł. Dawna Louetta zawsze była uprzejma. Otulając się mocniej szalem, który dostała od Lisy, uświadomiła sobie, że dawnej Louetty już nie ma. I dzięki Bogu.

- Najłatwiejsza droga nie zawsze jest właściwa - powiedziała ze stoickim spokojem.

Przeszedł na drugą stronę pokoju, gdzie na półce stało kilka fotografii. Odwrócił się, a ona nie mogła nie zauważyć, z jaką lekkością się poruszał. I roztaczał wokół aurę niezwyklej pewności siebie. Jakże łatwo zmniejszył dzielący ich dystans!

- Niezależnie od tego, co sobie myślisz - powiedział - dwa lata temu nie wybrałem najłatwiejszej drogi. Wiem, że to brzmi niezręcznie... - Urwał na chwilę, szukając właściwych słów.

Znów skinęła głową. Dziwne, ale gdy spotkali się po raz pierwszy, nie było pomiędzy nimi najmniejszej niezręczności, żadnego zakłopotania.

- Co tutaj robisz, Burke? - spytała obcesowo.

Otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale przesunął tylko po niej wzrokiem i zamilkł. Podczas ich pierwszego spotkania miała na sobie prostą, bawełnianą sukienkę. Dzisiaj ubrana była w sweter i spódnicę, które w doskonały i jakby zamierzony sposób podkreślały linie jej ciała.

- Jesteś piękna - powiedział.

Przez chwilę zdawało się, że Louetta się uśmiechnie. Ale ona tylko założyła kosmyk włosów za ucho i parsknęła lekceważąco:

- Obydwaj z Wesem moglibyście być bardziej oryginalni!

Burke zmarszczył brwi, ale gdy zauważył na niskim stoliku kwiat poinsecji, od razu zrozumiał.

- Widzę, że Stryker przysłał ci kwiaty - powiedział. - Mogę przeczytać bilecik?

- Bardzo proszę.

- Na górze róże, na dole fiołki, kochajmy się razem jak dwa aniołki! - Burke prychnął pogardliwie. - Naprawdę zamierzasz poślubić człowieka, który wysyła ci takie poematy?

Louetta podniosła głowę; w oczach jej czaiła się złość.

- Wes jest zawodnikiem rodeo, a nie poetą!

Burke tylko potrząsnął głową i zerkając na bilecik, powiedział:

- Ten naiwny wierszyk świadczy jednak o pewnej dozie szczerości - przyznał.

- Wes Stryker jest bardzo szczerzy.

Burke'owi nie podobał się kierunek, w jakim zmierzała rozmowa. Przyszedł tu, by wszystko Lily wyjaśnić i ostatnim tematem, na jaki chciałby rozmawiać, był jej związek z innym mężczyzną.

A Lily chodziła po pokoju i cały czas mówiła:

- Wes był jednym z niewielu ludzi, którzy nie dokuczali mi, gdy byliśmy dziećmi. Zawsze miał dla mnie miły uśmiech i dobre słowo.

- Od jak dawna się spotykacie?

- Od kilku tygodni.

- I kochasz go? - Burke'a uderzył w nozdrza zapach perfum. Pytanie: A czy mnie kochasz? - które chciał zadać - zawiśło mu na ustach.

- To nie twoja sprawa.

W jednej chwili znalazł się po drugiej stronie pokoju. Oddzielał go od Lily tylko stolik do kawy, na którym stały kwiaty i leżał bilecik.

- Może masz rację - powiedział niskim głosem. - Ale mogę być ciekaw, prawda? Ciekaw na przykład jestem, czy kiedykolwiek obudziłaś go w środku nocy, szepcząc mu coś do ucha?

Louetta zeszytniała. Policzki jej płonęły. Ale to ją nie obchodziło. Niech go licho porwie! Jak śmiał przypominać, że spędzili razem noc! Jak śmiał wyprowadzić ją z równowagi!

- Być może to dla ciebie niespodzianka - powiedziała, odwracając się do niego plecami i patrząc zamglonym wzrokiem przez okno - ale nie wskakuję do łóżka każdego mężczyzny, który zostawi mi pięć dolarów napiwku!

- Nigdy tego nie powiedziałem, do diabła!

Odwróciła się wolno; kosmyk włosów opadł na czoło. Gdy odgarniała włosy, poczuła, że drżą jej palce.

Zmieniła się, pomyślał Burke. Głos miała miękki, jak zawsze, i oczy tego samego szarego koloru. A jednak na ich dnie czaiły się dziwne iskierki. Czyżby go obwinięła? Tak, zranił ją. Nie chciała słuchać wyjaśnień. Już dawno uznała go za winnego. Nie mógł mieć jej tego za złe. Dwa i pół roku - to bardzo długo. Sam o tym wiedział najlepiej.

I właściwie nie miał żadnego wytłumaczenia dla swego ówczesnego zachowania... Prócz tego, że naprawdę jej pragnął. A poza tym, to co się wówczas wydarzyło pomiędzy nimi, nie zależało wyłącznie od niego. To ona jednym zniewalającym uśmiechem zmieniła jego plany na wieczór. I zrobiliby wszystko, by znów zobaczyć na jej twarzy ten uśmiech.

- Nie odpowiesz mi?

Sposób, w jaki spojrzała mu w oczy, wymagał od niej zapewne wiele odwagi. A on sam z kolei potrzebował dużo siły, by ustać w miejscu.

- Czy przyjąłabyś oświadczyzny Strykera, gdybym dziś nie przyjechał? - naciskał.

- Nie byłam w stu procentach pewna... - Wyprostowała plecy. - Ale zamierałam dać Wesowi nadzieję. Powiedziała-bym „być może”, a on by tego nie obrócił w żart. To człowiek cierpliwy i dobry. - Urwała i spojrzała w przestrzeń. - I bardzo uczciwy. Nie sądzę, by kiedykolwiek skłamał.

Burke czuł, jak wzbierają w nim uczucia, z których nie był zadowolony. Zazdrość, złość, a w końcu - ponura akceptacja.

- Wygląda na to, że masz wspaniałego faceta, Lily - oświadczył ponuro. Sięgnął po płaszcz i odwrócił się na pięcie.

Po chwili drzwi zamknęły się z trzaskiem, a kroki Burke'a rozległy się echem w małym mieszkaniu. Louetta oderwała dłonie od policzków i wpatrywała się w drzwi, zdziwiona, że nie słyszała jego kroków, gdy wchodził.

Aż do chwili gdy wypowiedział ostatnie słowa, sądziła, że spotkanie przebiega całkiem dobrze, zważywszy na wszystkie okoliczności. Co prawda, rozmowa była nieco sztywna, ale przynajmniej nie doszło pomiędzy nimi do scysji. Przynajmniej nie krzyczała, nie płakała, nie użalała się, nie opowiadała, jak na niego wyczekiwała i z każdym dniem umierała po trosze w środku. Udało jej się podczas całej rozmowy głęboko ukryć swoje uczucia.

A potem on wyszedł. I nazwał ją Lily!

Bezwiednie podeszła do okna. Nie chciała widzieć, jak Burke odchodzi, ale nie potrafiła się powstrzymać. Pamiętała, jak dawno temu, owej kwietniowej nocy, patrzył na nią, stojąc pośrodku ulicy.

Dziś szedł po chodniku, zamaszystymi, długimi krokami, a wiatr rozwiewał połę jego nie zapiętego płaszcza. Dziś nawet nie obejrzał się za siebie.

Lily - powiedziała tamtej nocy, gdy się poznali. Nazywam się Lily Graham.

Uścisnął jej rękę; jego uśmiech był cudowny, a dotyk prosty i naturalny, niewymuszony, a jednocześnie na tyle stanowczy, by dać do zrozumienia, że cieszy go jej towarzystwo. Tak czy owak, zapłonął w niej ogień, który sprawił, że robiła rzeczy, jakich przedtem nigdy nie robiła, i mówiła słowa, których nigdy wcześniej nie wypowiedziała.

Nigdy nie zapomni tonu jego głosu, gdy wypowiadał jej imię, gdy szeptał je w ciemnościach nocy i w pierwszych brzaskach świtu.



Zniknęła gdzieś nieśmiała, zakompleksiona Louetta - dziewczyna, którą w szkole średniej chłopcy nazywali „panną raczej nie”. Myśleli, że to zabawne, ale ona cierpiała, podobnie jak z powodu tysiąca innych drobnych przykrości, które czasami jej robiono, nawet nieumyślnie. Nieśmiałość przeszkadzała jej przez całe życie, choć powoli nauczyła się znosić wynikające z niej upokorzenia. Natomiast Lily - nowa kobieta, którą w sobie odkryła - była w pełni dojrzała, pewna siebie i swego miejsca na tej ziemi.

Och, Burke, dlaczego wróciłeś? Czy po to, by przypomnieć mi o tym, za czym tęskniłam przez wszystkie te lata?

I znów nazwał ją Lily...

Ze wstydem opuściła głowę. Jakże pragnęła naprawdę stać się taką kobietą, jaką była przez tę jedną jedyną noc.

Filiżanka wypadła jej z ręki. Odskoczyła nerwowo, jakby upuściła granat.

- Złośliwość przedmiotów martwych - skomentował z chłopięcym uśmiechem Jason Tucker, dwudziestotrzyletni ranczer, który potrafił rumienić się równie mocno jak Louetta.

Louetta pochyliła się, by pozamiatać resztki drugiej już filiżanki, którą stłukła dziś rano. Była zupełnie rozstrojona. Jeśli w takim tempie będzie tu naczyń, do wieczora zniszczy całą zastawę.

Jed Harley okazał dużo wyrozumiałości, gdy zabrudziła mu spodnie mlekiem, a Boomer Brown i jego żona Dora Lee, właścicielka Crazy Horse Saloon, nie powiedzieli ani słowa, gdy połowę kawy wylała im na spodki. Również Cletus McCully nie narzekając, zjadł przypalone jajka, choć mruknął pod nosem, że zachowuje się dzisiaj jak kotka na rozpalonym dachu.

Miał świętą rację. Za każdym razem, gdy zadzwięczały dzwonki przy drzwiach, podskakiwała do góry. I nie miała złu-

dzeń, że wszyscy, którzy zazwyczaj jedli u niej śniadanie, zauważyli, jak bardzo była dziś podminowana. I zapewne tłumaczyli to sobie wczorajszymi wydarzeniami. Cóż, nieśmiała, niepozorna Louetta Graham miała dwóch konkurentów do swojej ręki!

Z tego wszystkiego rozboleła ją głowa. Gdy wstawiała brudne naczynia do zlewu w kuchni, usłyszała czyjś głos:

- Kochanie, masz chwilkę?

- Cletus! - Louetta znów podskoczyła; naczynia wysunęły się jej z rąk, ale tym razem na szczęście wpadły do wody.

- Oczywiście... O co chodzi?

Stary mężczyzna strzelił z szelek i dla niepoznaki zainteresował się pięćdziesięcioletnim piecykiem. Gdyby nie zdenerwowanie i ból głowy, Louetta zapewne by się uśmiechnęła.

- Ukrywam się przed tymi... dręczycielkami - oznajmił, potrząsając siwą głową i z ukosa zerkając na drzwi.

Louetta westchnęła i w końcu zdobyła się na słaby uśmiech.

- Czyżby Gussie i Addie Cunningham znów zagięły na ciebie parol?

- Zagięły parol! - prychnął. - Te dwie baby są bardziej żarłoczne i przebiegłe od rekinów! W dodatku nie rozumieją słowa „nie”.

Louetta wstawiła do zlewu kolejny stos talerzy. Gussie i jej siostra Addie przeprowadziły się do miasteczka dwa lata temu, niedługo po tym, jak wygrały na loterii w Wisconsin, gdzie dotąd mieszkały, sporą sumę pieniędzy. Bez wątpienia obie były mocno ekscentryczne. Sporo po sześćdziesiątce i nadał samotne, twierdziły, że stanowią dobre partie i poszukują przyzwoitych mężczyzn.

- One są samotne, Cletusie - powiedziała Louetta, zanurzając ręce w wodzie. - Nikomu nie chcą wyrządzić krzywdy.

- Doprawdy? Ja też nie chcę ich skrzywdzić, ale bywają

sytuacje, które wymagają nadzwyczajnych środków zaradczych. Jeśli nie masz nic przeciwko, schowam się tutaj na pewien czas. Pomagałem czasami Melody, wiesz o tym, prawda? Gdy musiała załatwić jakieś sprawy albo wyskoczyć po sprawunki, albo...

- Dlaczego myślisz, że chcę gdzieś wyjść? - spytała Louetta, przerywając zmywanie i spoglądając z ciekawością w poczciwą, pomarszczoną twarz starego Cletusa.

- A nie chcesz?

Nie było sensu zastanawiać się, skąd Cletus tyle wiedział. Niewątpliwie był mądrym człowiekiem. Louetta przymknęła oczy, by zebrać nieco sił. Gdy je otworzyła, sięgnęła rękami za siebie i rozwiązała fartuch. Podała go Cletusowi, a potem zniebaczka pocałowała go w porany zmarszczkami policzek.

- Wiem po kim Melody odziedziczyła złote serce - powiedziała.

- Nie bierz mnie tak pod włos, dziewczyno. Wymknij się tylnym wyjściem - poradził. - Nikt nie zorientuje się, że wyszłaś.

Louetta zdjęła płaszcz z wieszaka. Szybko wyszła na tylną uliczkę i skierowała się prosto do gabinetu lekarskiego przy Custer Street.

Burke rozmyślał. Przemierzał pokój wielkimi krokami. Mieszkanie, przylegające do gabinetu lekarskiego, było częścią umowy, jaką zawarł z doktorem Maseyem, nim zgodził się prze-, prowadzić do Jasper Gułeh. Opuszczenie Seattle nie było wynikiem pochopnej decyzji. Od dawna czuł się tam rozczarowany, bezproduktywny, jakby niezaangażowany w życie. Trzydziestopięcioletni Burke Kincaid, lekarz w prestiżowym miejskim szpitalu, podchodził do swej pracy bardziej jak urzędnik niż lekarz z powołania. Od czasu gdy zaangażował się uczuciowo,

jego marzeniem stało się leczenie ludzi z tamtego małego miasteczka, przyjmowanie na świat ich dzieci, a potem wnuków i obserwowanie, jak rosną. Oczywiście, w tych marzeniach Lily czekała na niego z otwartymi ramionami.

A tymczasem kobieta o imieniu Lily nie istniała. Była marzeniem na jawie, bajką. Prawdziwa była Louetta. A Louetta okazała się o wiele bardziej uparta i nieprzejednana, niż się spodziewał. Do diabła, zachowywała się tak, jakby był grzesznikiem, przybywającym prosto z piekła!

Niewątpliwie popełnił w życiu wiele błędów, choć zawsze miał jak najlepsze intencje. Ale czy dobre intencje mogą usprawiedliwiać złe posunięcia? I dokąd to te dobre intencje go zawiodły?

Gdy dwa i pół roku temu wrócił do Seattle i zrozumiał, że nie może natychmiast wyjechać do Jasper Gulch, robił wszystko, by odwrócić myśli od Lily. Ale one nawiedzały go z niepokohamowaną siłą w najmniej spodziewanych momentach, a Lily jawiła mu się niekiedy tak realnie, że wyciągał rękę, by jej dotknąć.

Do licha, to działo się także teraz! Był chyba już za stary, by o poranku paraliżowało go seksualne pożądanie! Podszedł do biurka i zaczął rozpakowywać karton z książkami, gdy nagle za jego plecami rozległo się pukanie do drzwi.

- Proszę wejść, doktorze - zawołał, nie przerywając swego zajęcia. - Drzwi są otwarte.

Drzwi zaskrzypiały.

- Tak szybko wrócił pan z wizyty domowej? - spytał Burke, układając książki na półce.

W pokoju było zadziwiająco cicho. Burke odwrócił się ze zdumieniem. W otwartych drzwiach stała Lily na tle szarej, grudniowej poświaty. Tak mocno ścisnęła w dłoni torebkę, że pobieleły jej palce.

- Proszę, wejdz. - Głos Burke'a zabrzmiał donośnie w ci-  
chym pokoju.

- Nie mogę zostać. - Nerwowo oblizła wargi. - Chciała-  
bym tylko, żebyś wiedział... Mam na imię Louetta, ale mój  
ojciec zawsze nazywał mnie Lily.

Podczas tych ponad dwóch lat, gdy się nie widzieli, Burke  
ze zdumiewającą jasnością pamiętał każdy szczegół, każdy dro-  
biazg, który dotyczył Lily. Teraz z taką samą jasnością zaglądał  
w jej wnętrze. Była naprawdę przestraszona. Ale czy to dziwne?  
Przecież ją zawiódł. A to, że nie mogliby pogodzić się ze sobą,  
gdyby postąpił wówczas inaczej, nie miało tu żadnego znacze-  
nia, nie było okolicznością łagodzącą. Dotkliwie ją zranił i nie  
mogła mieć pewności, czy nie zrani jej znów.

- Wiedziałem, że mnie nie okłamałaś - powiedział, pakując  
medyczną książkę z powrotem do kartonu.

Lekko otworzyła usta i zamrugała powiekami. O Boże, jakże  
lubił wprawiać ją w zakłopotanie! Lubił ten ogień w jej oczach  
i rumieniec na policzkach. Z jedną ręką opartą na biodrze, a dru-  
gą w kieszeni, postąpił krok w jej kierunku.

Louetta cofnęła się instynktownie. O Boże! Powiedziała to,  
co chciała mu powiedzieć. I co teraz? Co, do licha, działo się  
z jej zdrowym rozsądkiem?

- Muszę już iść - niemal jęknęła głośno.

- Tak szybko?

Chwila ciszy przeciągała się nieznośnie.

- Zwykle o tej porze Isabell wpada do mnie do baru. - Uchwy-  
ciła się pierwszej z brzegu wymówki. - Czuje się bardzo samotna  
po śmierci mojej mamy. Zmartwi się, jeśli mnie nie zastanie.

- Czy Isabell wie o nas, Louetto? - spytał cichym głosem.

Głos ten przypominał jej szum północnego wiatru - słychać  
w nim było głębokie westchnienie i delikatny, melodyjny jęk.  
Ten wiatr przeszywał ją na wskroś, drażnił zmysły.

Z widocznym wysiłkiem zebrała się w sobie, wyprostowała plecy i wysunęła podbródek.

- Nie martw się - oświadczyła, wytrzymując przenikliwe spojrzenie Burke'a. - Nie powiedziałam nikomu o naszej potajemnej randce.

- Tak określasz to, co zaszło między nami? - obruszył się.

- Potajemną randką?

- A jak byś to nazwał?

- To było coś o wiele poważniejszego... - Blask jego oczu zdradzał wewnętrzną determinację.

Nim zdążyła zrobić krok do tyłu, objął ją ramionami. W mgnieniu oka zrozumiała, że zamierza ją pocałować.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Zbliżył się do niej tak szybko i niespodziewanie, że zabrakło jej tchu. Ale gdy jego usta przywarły do jej warg, rozchyliła je z cichym westchnieniem. Miał bardzo silne ramiona, a ciało pod szarym swetrem było ciepłe i twarde. Zamknęła oczy i nic nie widziała. Ale czuła wszystko - wilgotne wargi Burke'a, jego szeroką klatkę piersiową oraz głośne bicie jego serca na swojej dłoni, która jakimś sposobem znalazła się pomiędzy ich ciałami.

Wszystkie jej myśli odeszły w niebyt, a wszystkie pragnienia skupiły się w jedno. Tak samo było podczas pierwszego spotkania. Jeden pocałunek i była stracona, jeden uścisk - i pręła następnego.

Nie zdawała sobie sprawy, że cofnęła się i dotykała teraz plecami chłodnej ściany.

Ręce Burke'a sunęły wzdłuż jej kręgosłupa; przyciskał ją coraz mocniej, oddychał coraz gwałtowniej.

Przepełniało go pożądanie - niebezpieczne, potężne. O Boże, ona była taka miękka, taka słodka, jej oddech był gorący, a dłonie coraz bardziej natarczywe. Przesuwała nimi po jego ciele w górę i w dół, sprawiając, że serce biło mu szybciej i szybciej, tak szybko, że omal nie wyskoczyło z piersi.

Burke rozumiał, że musi przestać. Ale próbował bezskutecznie. Jakaś dziwna siła pchała go ku niej. Zaplątał palce w jej włosach, spinkę, którą były spięte, rzucił na podłogę.

- Och, Lily, tak bardzo za tobą tęskniłem...

W chwili gdy słowa te dotarły do świadomości Louetty,

otworzyła oczy i nagle zeszywniała. Właściwie nie była pewna, co ją tak gwałtownie przywróciło do rzeczywistości. Czy to, że Burke nazwał ją Lily, czy może wspomnienie tego, co zaszło dwa i pół roku temu?

Wyczuwając jej niepokój, odsunął się od niej lekko i głęboko westchnął. Wykorzystała okazję i pospiesznie wyslizgnęła się z jego ramion.

- Naprawdę muszę iść - powiedziała, szybko pokonując odległość do drzwi.

- Zostań...

- Nie mogę.

- Lily... - A potem dodał ciszej, nieco trwożliwie: - Louetto, poczekaj. - Przystanął kilka kroków od niej, jakby nie był pewien, czy może ponownie się zbliżyć. - Cieszę się, że wpadłaś.

- Chciałam mieć czyste sumienie - powiedziała, unikając jego spojrzenia. - Nie miałam zamiaru... - Głos jej zamarł. Do licha, jeśli znów się zaczerwieni, po prostu wyjdzie, nie oglądając się za siebie!

- Z tego też się cieszę - powiedział cicho.

Gdy spojrzała na niego, przeszył ją dreszcz. Działo się tak za każdym razem, gdy patrzyła w jego twarz wyrażającą pożądanie. A więc ucieszył się, że ją zobaczył, nie krył, że jej pragnie, że chce ją przytulać. Twierdził, że mu jej brakowało. Może to była prawda. Ale przecież nie mógł w ten sposób wymazać bólu, z którym żyła w samotności od tamtej pamiętnej nocy. Nie powinien dziś jej całować. A ona, jeśli chciała zachować dumę, nie powinna zareagować z taką namiętnością, No cóż, nie nwgła odwrócić tego, co już się stało. Pocałował ją, a ona oddała mu pocałunek z prostej, zwyczajnej przyczyny - ponieważ tego pragnęła i było jej dobrze. Nie oznaczało to jednak, że o wszystkim powinna zapomnieć i wyobrażać sobie, że odnalazła niebo



w jego ramionach. Nie było przecież nic rajskiego ani poetycznego w bólu, rozczarowaniu i złamanym sercu.

- Zjedz dziś ze mną kolację - poprosił drżącym głosem.
- Nie mogę.

Pochylił się i jednym, zwinnym ruchem podniósł z podłogi beżową torebkę, którą nieświadomie upuściła.

- Nie możesz? - spytał, podając jej torebkę.
- Mam już inne plany. - Wsunęła torebkę pod ramię.
- Plany? - W jego głosie słychać było cień goryczy, gdy

dodał: - Możesz być bardziej dokładna?

- Mam randkę.
- Ze Strykerem?
- Tak, z Wesem.
- I zamierzasz wyjść z nim, nawet po tym, jak mnie pocałowałaś?

- To nie ja cię pocałowałam - zdobyła się na ostry ton. - To ty pocałowałeś mnie! - Odrzuciła włosy z ramion, odwróciła się na pięcie i wyszła z jego mieszkania.

Burke stał w otwartych drzwiach i patrzył, jak odchodziła. Zimny wiatr przeszywał go do szpiku kości.

- Dokąd idziesz? - zawołał za nią.

Odwróciła się tak szybko, że włosy zawirowały wokół jej twarzy.

- Wracam do baru!
- Chodzi mi o wieczór - wyjaśnił. - Ze Strykerem.

Przez moment miała problemy ze zrozumieniem sensu tego pytania. Odsunęła włosy z twarzy, otuliła się mocniej płaszczem i przestąpiła z nogi na nogę.

- Idziemy do Steak House w Pierre - odparła, podejrzliwie unosząc brwi. - Dlaczego pytasz?

Burke niewinnie rozłożył ręce.

- Bez powodu.

Potrząsnęła głową ze zniecierpięciem i odeszła. Burke stał w miejscu i długo patrzył za oddalającą się kobietą. Poruszała się tak, że mogłaby zatrzymać ruch na całej ulicy. Miała temperament... Zmieniła się, pomyślał. I co dziwniejsze - to mu się podobało!

Zamknął drzwi dopiero wówczas, gdy całkiem zniknęła z pola widzenia. I choć słońce nie świeciło, w pokoju jakby pojaśniało, a powietrze stało się bardziej pachnące. Nie było wątpliwości - dzień wydawał się radośniejszy. Co prawda, nie spodobało mu się, że dziś wieczór Lily umówiła się ze Strykerem, i choć twierdziła, że to on ją pocałował - jej reakcja na ten pocałunek świadczyła, że wszystko zmierza w pożądanym kierunku.

Burke, jak przystało na lekarza, był człowiekiem cierpliwym. A więc Louetta dziś wieczorem miała randkę ze Strykerem. W porządku. Tylko od Burke'a zależało, by skierowała swoje myśli ku właściwemu mężczyźnie.

Nucąc wesoło pod nosem, otworzył notes i podniósł słuchawkę.

Louetta bardzo szybko wróciła do baru. Wieszając płaszcz na wieszaku, drugą ręką sięgnęła po fartuch. Spojrzała na stos czystych naczyń i Cletusa, który kończył wycieranie, po czym uśmiechnęła się i przez kołyszące drzwiczki weszła do sali jadalnej.

Uśmiech jej nieco przygasł, ponieważ wszyscy goście jak na komendę unieśli brwi w niemym pytaniu. Sięgnęła po dzbanek z kawą, nalała do filiżanek braci Anderson i podeszła do kolejnego stolika, przy którym siedzieli Boomer i Dora Lee. Przed chwilą dosiadł się do nich Wes.

- Dzień dobry, Lou.

- Witaj, Wes - odpowiedziała, a uśmiech wrócił jej na twarz, gdy Wes wyciągnął zza pleców bukiet.

- Nie musisz stale przynosić mi kwiatów - upomniała go, biorąc do ręki różowe goździki.

- Sama jesteś w kuchni? - Spojrzał na nią z uwagą.

- Cletus pomaga mi zmywać naczynia - Wyjaśniła szybko.

- Dlaczego pytasz?

- Stary Cletus McCully? - zdziwił się niezbyt mądrze Wes.

- A jest młody Cletus McCully, złotko? - spytała Dora Lee.

- Nie zamierzasz przeczytać bilecika? - Wes, rozumiejąc, że się wygłupił, szybko zmienił temat.

Louetta postawiła karafkę na stole i otworzyła małą kopertę.

„Na górze róże, na dole bez. Kto ciebie kocha? Tylko Wes!”

- Jakie to słodkie, Wes. - Przyłożyła palec do ust, a gest ten przypomniał jej od razu pocałunek Burke'a.

Poczuła się zakłopotana, bąknęła coś o wstawieniu kwiatów do wody i pospieszyła do kuchni, gdzie Cletus kończył swoje zajęcie. Zdjęła z polki wazon i napełniła go wodą, a potem powoli układała w nim kwiaty, aż poczuła się znacznie spokojniejsza.

- Horyzont jest pusty, Cletusie - powiedziała z uśmiechem.

- Gussie i Addie już wyszły.

- Alleluja!

- Nic dziwnego, że się za tobą uganiają - dodała, spoglądając na czyste naczynia. - Jesteś nie tylko przystojny, ale i potrafisz zmywać.

Cletus McCully pobladł.

- Jeśli próbujesz mnie przerazić, wiedz, że ci się udało!

- Mogę cię o coś spytać? - Postawiła wazon z goździkami na blacie. A gdy skinął głową, dodała: - Czyżbym założyła sweter na lewą stronę, a może jestem potargana, albo wyrosło mi trzecie oko, czy coś podobnego?

Zlustrował ją od stóp do głów wprawnym okiem mężczyzny.

- Włosy masz nieco rozwiane przez wiatr, ale poza tym wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Dlaczego pytasz?

- Wszyscy przyglądają mi się jakoś dziwnie.

Cletus rzucił ścierkę na blat i przytykając palec do ust, podszedł do drzwi.

- Wyglądasz dobrze. Ładnie. Jak kobieta, którą niedawno całowano. - To powiedziawszy, zniknął za kołyszącymi się drzwiami.

Tym razem Louetta pobladła. Ani drgnęła nim drzwi przestały się kołysać. Wielkie nieba! Nie miała pojęcia, że to było tak widoczne! Nic dziwnego, że tak podejrzliwie jej się przyglądano!

Jeszcze niedawno Louetta Graham nie potrafiłaby radzić sobie z takim sytuacjami. Przyzwyczała się, że jej nigdzie nie zauważano. Nawet na potańcówkach zwykle podpierała ścianę. Ale ostatnie trzy lata życia wyzwoliły w niej nieznane dotąd siły. Wyjście ze skorupy naprawdę wymagało odwagi. A teraz, gdy zaszła już tak daleko, nie mogła przecież się wycofać.

Dawna Louetta pozostałaby więc tchórzliwie w kuchni, czekając, aż wszyscy goście wyjdą. Ale w życiu nowej Louetty nie było miejsca na słabości i tchórzostwo. Biorąc głęboki oddech, popchnęła kołyszące się jeszcze drzwi.

Jęknęła cicho, gdy jak spod ziemi wyrósł przed nią jakiś mężczyzna i, w chwili gdy przechodziła przez drzwi, przyciągnął ją do siebie.

- Wes! - krzyknęła słabo, z przerażeniem patrząc, jak pochyla ku niej twarz.

Pocałował ją mocno, a potem puścił do niej oko.

- Lepiej od razu uciąć łeb plotkom, nie uważasz? - Odwracając się do drzwi, rzucił: - Do zobaczenia wieczorem, Lou!

Louetta patrzyła za nim, zakrywając usta jedną ręką, drugą zaś przykładając do serca. Wiedziała, że policzki jej płoną. Wiedziała, że wszyscy na nią patrzą.

Nie mogła odzyskać równowagi.

Zwyczajna, nieśmiała Louetta Graham przeżyła trzydzieści trzy lata, przez nikogo nie będąc całowana. I nagle, gdy skończyła trzydzieści pięć lat, w odstępie zaledwie kwadransa, pocałowało ją dwóch najprzystojniejszych mężczyzn w całej Południowej Dakocie. I co z tym fantem miała zrobić?

- A wtedy ja - mówił Wes Stryker z figlarnym wyrazem oczu, opowiadając Louecie kolejną historię z walk rodeo - balansując na szczycie ogrodzenia, wyteżyłem wszystkie siły, by dosiąść ogiera i utrzymać się na jego grzbiecie. Ale koń miał na ten temat inne zdanie. Gdy tylko posadziłem na nim tyłek, wiedziałem, że czeka mnie niezła przeprawa.

Louetta z filiżanką kawy w ręce pochyliła się do przodu, wyraźnie zaintrygowana opowieścią Wesa.

- I co? - spytała z uśmiechem. - Udało ci się utrzymać na jego grzbiecie przez osiem sekund?

- To było najdłuższe osiem i pół sekundy w moim życiu! Powiadam ci, jazda na wściekłym ogierze przypomina sterowanie kosmiczną rakieta wracającą na Ziemię.

- A ile razy sprowadzałeś rakieta na Ziemię? - spytała, śmiejąc się głośno.

Odkąd skończyli szkołę, nieczęsto widywała Wesa, ale zawsze dobrze się czuła w jego towarzystwie. Może dlatego, że on też nie do końca tam pasował i rzadko uczestniczył w szkolnych imprezach.

Jego matka zmarła, gdy Wes był małym chłopcem. Louetta nawet dobrze jej nie pamiętała. Wszyscy wiedzieli, że ojciec Wesa, Sam Stryker, ma problemy z alkoholem. Mały Wes każdą wolną chwilę poświęcał ćwiczeniom jazdy konnej i rzucaniu lassem. Planował nawet ucieczkę z Jasper Gulch. Następnego dnia po skończeniu szkoły opuścił rodzinne miasteczko. Mimo że przyjeżdżał tu dwa razy do roku, nikt nie spodziewał się, że kiedyś wróci na

stałe, Ale również nikt nie spodziewał się - pomyślała Louetta - że dwaj mężczyźni naraz będą się za nią uganiać.

Wes nakrył ręką filiżankę, dając znać kelnerce, że nie chce już więcej kawy, a potem odpowiedział:

- Leciałem dwupłatowcem oraz prowadziłem samochód wyścigowy, ale, oczywiście, nie mogę powiedzieć, że sprowadzałem na Ziemię statek kosmiczny. Ujeżdżałem natomiast wiele dzikich koni, których jedyną ambicją było zrzucenie mnie ze swego grzbietu. Gdy się ujeżdża takie stworzenia, trzeba dokładnie wiedzieć, gdzie ma się środek ciężkości, by umiejętnie spadać. To jest łatwe, ale zazwyczaj bolesne. Naprawdę ładnie dziś wyglądasz, Lou - zakończył nieoczekiwanie.

Bawiła się wisiorkiem, rozmyślając, jak powinna zareagować na tę nagłą zmianę tematu. Ten mężczyzna miał nieobliczalne pomysły. Pocałunek, którym obdarzył ją dziś rano, był tego najlepszym przykładem.

Wyglądało na to, że Wes delektuje się niezręcznie długą ciszą. Znów puścił do niej oko i powiedział:

- Właściwie, ty zawsze jesteś ładna.

Louetta skrzywiła się lekko i przewróciła oczami.

- Nic dziwnego, że jesteś tak popularny, Wes. Potrafisz się przypodobać.

Kilka osób odwróciło głowę na dźwięk donośnego śmiechu Wesa Strykera.

- Celny strzał, Louetto! Lepiej działasz na moje dolegliwości niż gorący kompres i końska maść.

Louetta odstawiła na stół filiżankę z chłodną już kawą i oparła podbródek na dłoniach. Choć słowa Wesa pozbawione były romantyzmu, nie miała mu tego za złe. W jego towarzystwie dobrze się czuła i bawiła.

- Pewnie mówisz to wszystkim kobietom, z którymi się spotykasz - droczyła się z nim.

Twarz mu spochmurniała. Na moment w jego oczach pojawił się daleki, bolesny wyraz. Louetta zaczęła się nawet zastanawiać, co było prawdziwym powodem jego odejścia z cyrku rodeo. A może kto?

- Przepraszam, czy pani jest Louettą Graham?

Louetta i Wes jednocześnie podnieśli wzrok. Gdy Louetta skinęła głową, kobieta podała jej mały bukiet kwiatów.

- Dostarczono je dla pani - wyjaśniła.

Zdziwiona Louetta podniosła bukiet do nosa. Wdychając słodki zapach lilii i konwalii, przymknęła oczy i rozkoszowała się ciepłem rozchodzącym się po jej ciele.

- Od kogo te kwiaty? - zapytał obcesowo Wes.

Kobieta wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Miałam je tylko dostarczyć. Chyba nie było żadnego bilecika.

Louetta opuściła bukiet i napotkała zdumione spojrzenie Wesa. Była tylko jedna osoba, od której mogła dostać ten bukiet. Obydwoje o tym wiedzieli.

- Punkt dla doktora - skwitował Wes. I dodał ze spokojem i pewnością siebie, które zapewne pomogły mu wygrać niejedyn turniej: - Wygląda na to, że od tej pory będę musiał uważać.

Louetta położyła kwiaty na stole.

- Wes, nie chciałabym, aby sprawy wymknęły się spod kontroli...

- Spod kontroli? - zdziwił się, sięgając po rachunek - To robi się naprawdę interesujące. - Wstał, uśmiechnął się do niej i rzucił na stół kilka banknotów. - Nie martw się. Małe współzawodnictwo nigdy nie zaszkodzi. Przynajmniej mnie.

- Ale, Wes, to wcale nie jest konieczne...

- Gdyby ludzie robili tylko to, co konieczne, życie byłoby śmiertelnie nudne. A poza tym zasługujesz na to, co najlepsze.

I chcesz dobrze się bawić, prawda? Naprawdę niczym się nie martw. Zostaw zmartwienia doktorowi i mnie.

Coś powstrzymało Louette, by powiedzieć Wesowi, że to jest niemożliwe. Poczowała dziwny smutek i żal, że nikt jej nie rozumie. Nawet Wes. Gdyby ją rozumiał, wiedziałby przecież, że ona nie robi tego dla zabawy. A już na pewno nie chciała być niczyją wygraną. Pragnęła, by ją kochano taką, jaka była.

Odsunęła krzesło i wyszła z Wesem z restauracji, wdychając głęboko słodki zapach konwalii unoszący się nad bukietem, który trzymała w dłoni.

- Dobranoc, Lou.

- Dobranoc. - Louetta pomachała Wesowi na pożegnanie i zatopiona w myślach, ściskając w ręku bukiet, skręciła pod własne drzwi.

Dziś wieczorem Wes zachował się jak prawdziwy dżentelmen. Odprowadził ją pod dom, palcem dotknął brzegu kapelusza, a potem pocałował ją na dobranoc. Było w nim coś szorstkiego, dzikiego i prymitywnego - co zwykle przypisywano naturze kowboja. I naprawdę potrafił nieźle całować.

- Cześć, Lily.

Zerknęła przez ramię i zobaczyła ubranego na czarno mężczyznę, który właśnie wyłonił się z cienia. Drgnęła instynktownie, a jej serce zaczęło bić tak szybko, jakby chciało wyskoczyć z piersi.

- Czy ty mnie śledzisz, Burke?

Burke zbliżył się o kilka kroków; żwir chrzęścił pod jego stopami, a wiatr rozwiewał jego ciemne włosy.

- Wyszedłem na późny spacer. Dobrze się bawiłaś ze Strykerem?

- Przypuszczam, że można tak powiedzieć... Z Wesem bardzo przyjemnie się rozmawia. - Nagle Louetta uświadomiła sobie, że nawet nie pamięta, o czym rozmawiali



Burke zatrzymał się w odległości dwóch kroków.

- Widzę, że dostałaś ode mnie kwiaty.

Spojrzała na bukiet, potem w twarz Burke'a i nic nie powiedziała. Mocno postanowiła sobie, że nie będzie reagować na głęboki, uwodzicielski ton jego głosu ani też nie ulegnie głodnemu wyrazowi orzechowych oczu.

- Nie zaprosiłaś Strykera do środka - ciągnął. - Czy jest ku temu jakiś ważny powód?

- Jeszcze ludzie zaczęliby plotkować - powiedziała cicho.

- Czy dwa lata temu ludzie o nas też plotkowali?

Louetta wołała, by nie przypominał stale o tamtej szalonej nocy. Chciała przecież zapomnieć o bólu, jaki czuła po jego odejściu.

- Prócz Nicka i Brittany Colter, którzy wpadli na nas, gdy wychodziłeś następnego ranka, nikt inny o nas nie wiedział.

- Nikt?

- Kilka miesięcy później opowiedziałam o wszystkim przyjaciółce, a potem mojej matce tuż przed jej śmiercią.

Burke wpatrywał się w jej twarz. Oczy miała szeroko otwarte; w ciemności wydawało się, że jej źrenice otaczają wąskie szare kółka. W półmroku wszystko przybierało szary kolor - szare były jej rzęsy, którymi od czasu do czasu mrugała, jej płaszcz i kwiaty, które trzymała w prawej ręce.

- Lilie bardzo do Ciebie pasują - powiedział.

Nie mógł nie zauważyć, jak drgnęła jej szyja, gdy nerwowo przełykała ślinę. A jednak znów nie odpowiedziała. Nie należała do kobiet, które dużo mówiły. Zauważył to już w dniu, gdy się poznali. Odzywała się tylko wtedy, kiedy naprawdę miała coś do powiedzenia. Lubiła natomiast słuchać. Jej rozmówca musiał uważać na wyraz jej twarzy, na pochYLENIE głowy, na słodki uśmiech, który niekiedy pojawiał się na jej ustach.

Utkwił teraz wzrok w jej wargach. Pamiętał, co odczuwał,

gdy ich dotykał swoimi ustami - jak smakowały, jak drżały. Narastało w nim pożądanie i coraz mocniej zdawał sobie sprawę z tego, że ma ochotę na coś zupełnie innego niż rozmowę.

- Zaproś mnie do środka - wyszeptał.

Cofnęła się o krok i wolno pokręciła głową.

- Nie sądzę, by to był dobry pomysł.

Burke nie rozumiał dlaczego, ale bardzo go to dotknęło i zaniepokoiło. Lily była inna niż kobiety, które znał. Zainteresowała go tak mocno, że trwał przy niej myślami już ponad dwa lata, a być może będzie o niej myślał do końca życia. I chyba to napełniało go taką goryczą, że ona nie była do niego w równym stopniu przywiązana.

- Wstydzisz się tego, co zaszło pomiędzy nami? - spytał otwarcie. - Czy o to chodzi?

Louetta zebrała wszystkie siły, by ustać spokojnie w miejscu.

- Wstyd? - odparła. - Nie, ja się nie wstydzę. Mam tylko wrażenie, że było to tak do mnie niepodobne, że nikt by nie uwierzył...

Burke podszedł bliżej, wyciągnął rękę i odsunął kosmyk włosów z jej policzka. Strwożona umilkła, zdawało się jednak, że Burke całkiem inaczej odebrał jej reakcję.

- Tutejsi mężczyźni chyba musieli być ślepi - skomentował.

- Zresztą każdy facet mógłby zrobić ci krzywdę...

Louetta przyglądała się uważnie jego twarzy. Miał kwadratową szczękę, wystające kości policzkowe i uwodzicielski wyraz oczu. Powinna to wiedzieć... Przecież ją też uwiódł z dziecinną łatwością. I złamał jej serce. Zamknęła oczy i odwróciła głowę, chcąc odtrącić jego wyciągniętą dłoń.

- Być może nieodpowiedni facet już to zrobił - szepnęła.

Szare oczy napotkały orzechowe; żadne z nich nie wiedziało, co powiedzieć. Wreszcie Burke zdołał wydobyć z siebie głos.

- Zjedz ze mną jutro kolację - zaproponował.

Przyglądała mu się przez chwilę w milczeniu.

- Nie wiem - odezwała się wreszcie. - Twój przyjazd wszystko skomplikował... Wprawiasz mnie w zażenowanie.

Burke już dawno temu przyzwyczał się do komplikacji, a ją właściwie chciał wprawić w zażenowanie, zwłaszcza jeśli miało to oznaczać, że zechce się z nim spotkać i dać mu drogą szansę.

- Robi się późno - powiedziała, przerywając niezręczną ciszę.

Zbyt późno, pomyślał.

- Odwiedzę cię jutro w barze - powiedział. - Porozmawiamy.

Postąpiła krok w kierunku drzwi, ale nim zdołała wycofać się całkowicie, zdążył ją pocałować. Nie był to dziki, szalony pocałunek jak poprzednie, tylko czułe, słodkie muśnięcie warg. Szybko oderwał od niej usta, cofnął się i uniósł kołnierz płaszcza.

- Dobranoc, Lily. Do jutra!

Zakręciło jej się w głowie od tego delikatnego pocałunku. Nie zdążyła mu nawet odpowiedzieć. A on w dodatku, odchodząc, zrobił ostatnią rzecz, jakiej się spodziewała - uśmiechnął się!

W wyobraźni widziała ten uśmiech jeszcze długo potem, jak weszła po schodach do swego mieszkania i zamknęła drzwi.

Chodząc po pokoju, mruzczała coś pod nosem. Nadal widziała uśmiech Burke'a i nie potrafiła opanować emocji, które wzbudzał w niej ten mężczyzna.

A takiego - uprzejmego, słodkiego, łagodnego - jeszcze go nie widziała.

Opadła na kanapę, ale prawie natychmiast zerwała się na równe nogi. Niezależnie od tego, jak bardzo był dziś szlachetny i łagodny, w swoim czasie, kiedy na niego czekała - nie wrócił. I złamał jej przez to serce. Ani razu nie napisał, nie zadzwonił... A teraz, gdy wrócił, chciał szturmem wedrzeć się w jej życie

ł zacząć wszystko od początku. Jakby czas stanął, od chwili gdy się rozstali.

Dotykając palcem warg, poprzysięgła sobie, że zanim kolejny raz ją pocałuje, będzie musiała się dowiedzieć, dlaczego się nie odezwał przez całe dwa i pół roku. I dlaczego wrócił teraz.

Nad drzwiami zadźwięczał dzwonek.

- Wielkie nieba, Louetto! - zawołała Isabell. - Wszak to Josie z następnym bukietem!

Louetta uchyliła kuchenne drzwi i wystawiła głowę, a po chwili cofnęła się i sięgnęła do kredensu po kolejny wazon.

- Do licha, to już piąty bukiet dziś rano - powiedziała, zjawiając się w pustej o tej porze jadalni. - Doprawdy, Wes powinien przestać wydawać...

Ale głos jej zamarł, gdy w dłoniach Josie Callaghana zobaczyła białe i żółte lilie.

- Och, ciekawa jestem, jaki dziś wierszyk wymyślił Wes - nalegała Isabell.

- Nie sędzę, by były to kwiaty od Wesa - wtrąciła Dora Lee Brown po chwili przedłużającej się ciszy. A potem zwróciła się wprost do Louetty: - Te kwiaty są od tego nowego lekarza, prawda, złotko?

Louetta, wtulając twarz w pachnący bukiet, skinęła głową.

- Skąd wiesz? - zdziwiła się Isabell. - Przecież Wes przez cały ranek przysyła Louecie kwiaty.

Kwiaty, pomyślała Louetta. Piękne kwiaty we wszystkich kolorach tęczy. Ale nie lilie.

- Pewna jestem, że te również są od Wesleya - upierała się Isabell. - Tylko popatrz... - Sięgnęła po bilecik i... zrobiła głupią minę.

Louetta zerknęła na męski charakter pisma. Była całkiem

pewna, że nie znajdzie tu nic o czerwonych różach i niebieskich fiołkach. Na bileciku widniał jedynie podpis: Burke.

Ustawiając kwiaty wazonie, Louetta powiedziała:

- Cletus uważa, że bar w tych kwiatkach przypomina zakład pogrzebowy. Nie wiem, jak powstrzymać Burke'a i Wesa...

- To proste - powiedziała Dora Lee. - Zdecyduj się na jednego z nich.

- To wcale nie takie proste - zaprotestowała Isabell. - Powinnaś wybrać naszego Wesleya, prawda, złotko? Ten lekarz zjawił się naprawdę nie w porę. Gdyby nie to, Louetta byłaby już zaręczona z Wesleyem. Doktor Kincaid sprowadził prawdziwe kłopoty, kłopoty z dużej litery.

- Być może - powiedziała, siedząca po drugiej stronie stołu Dora Lee. - Ale jeśli byłabym młodsza, no i nie kochałabym Boomera, doktor Kincaid pewnie wpakowałby mnie w te kłopoty. - Pięćdziesięcioletnia tleniona blondyna puściła oko do Louetty. - Ale pewnie niewiele dziewczyn skarżyłoby się, gdyby Wes postawił pod ich łóżkiem swoje kowbojskie buty.

- Doro Lee, proszę cię - upomniała ją Isabell. - Taka bezpośredniość nie jest na miejscu. Zachowaj ją dla gości swojego baru. Louetta i ja jesteśmy ulepione z delikatniejszej gliny, nieprawdaż, kochanie?

Zapadła cisza.

- Louetto? - powtórzyła Isabell.

Louetta nadal chowała twarz w bukietach lilii. Spoglądając w oczy Isabell, a potem Dory Lee, powoli odstawiła kwiaty na pobliski stolik.

- Przepraszam - powiedziała. - Musiałam się zamyślić. Co mówiłaś?

Zanim Isabell zdołała powtórzyć pytanie, odezwała się Dora Lee:

- Dobrze się czujesz, Louetto?

- Chyba nie zemdlejesz, prawda? - zaniepokoiła się Isabell.
- Świetnie się czuję, naprawdę - zapewniła je Louetta.

Dora Lee przyglądała jej się przenikliwym wzrokiem. Isabell natomiast z wyraźną ulgą skinęła swym małym, szpiczastym podbródkiem.

Louetta pomyślała o nich dwóch - samozwańczej przewodniczącej miejscowego Stowarzyszenia Kobiet, właścicielce jedynego baru z wyszynkiem w mieście oraz o najbardziej nieśmiałej i skromnej kobiecie w okolicy. Były do siebie tak niepodobne, miały na każdy niemal temat odmienne zdanie. A mimo to w sercu Louetty zajmowały jednakowo ważne miejsca.

Isabell, mimo wszystkich swoich przywar, była dla Louetty zawsze jak druga matka. Natomiast przyjaźń Louetty i Dory Lee zaczęła się ponad dwa lata temu, gdy pewnego wieczoru Dora Lee podsłuchiwała, jak w restauracyjnej kuchni Louetta płacze. Właśnie wtedy Louetta, czując się bardzo smutna i samotna, otworzyła przed Dorą Lee swe serce.

Gdy znów zadźwięczał dzwonek nad drzwiami, Louetta przyłożyła zaciśniętą pięść do serca, jakby bezmierna rozpacz z tamtego okresu wróciła do niej niczym widmo.

- Och, nie! - westchnęła Isabell.
- O Boże! - zawołała Dora Lee.

Louetta wiedziała, że tylko w dwóch przypadkach te kobiety mogły w taki sposób zareagować. Albo więc Josie przyniosła kolejny bukiet lilii, albo Burke Kincaid we własnej osobie pojawił się we frontowych drzwiach baru.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Nim oczy Burke'a przyzwyczały się do półmroku panującego w barze, Lily zdążyła odwrócić twarz, a kobieta o długiej szyi i szpiczastym podbródku wstała i przywarła do jej boku niczym wierny stróż.

- Śniadanie podajemy do dziesiątej - powiedziała starsza kobieta.

Burke zrzucił z ramion płaszcz i uśmiechnął się do niej.

- Nie przyszedłem na śniadanie. - Spoglądając na Lily, uśmiechnął się szerzej. - Lily... to znaczy Louetta mnie oczekuje.

- Louetto, czy to prawda?

Louetta wróciła do rzeczywistości. Czuła się tak, jakby trafiła w nią spadająca z sufitu cegła. Burke Kincaid jednym spojrzeniem swych uwodzicielskich oczu, jednym uśmiechem białych zębów, pełnym obietnic i skrywanych sekretów, po prostu ścinał ją z nóg, kolana się pod nią uginały, a opór jej słabł. Cóż, działał na jej zmysły jak mieszanka piorunująca, nie było co do tego wątpliwości.

Zerkając nieśmiało na obie kobiety, które bez żenady wpatrywały się w Burke'a, zwróciła się do Isabell:

- Obiecałam Bonnie Trumble, że wpadnę do niej dziś rano, aby wybrać kołody dla dziecięcego chóru na jasełkę. Obawiam się, że nie będę dziś mogła tego zrobić. Czy mogłabyś zajrzeć po drodze do salonu kosmetycznego i przekazać jej tę wiadomość?

Bolesny wyraz przemknął po szczupłej twarzy Isabell. Po-

słusznie skinęła głową i sięgnęła po swój nieco znoszony płaszcz. Gdy tylko dzwonek nad drzwiami oznajmił jej wyjście, Louetta zwróciła się do Dory Lee. Ale tleniona blondynka podniosła dłoń do góry i potrząsnęła głową.

- Nie wymyślaj pretekstu, by się mnie pozbyć. Już idę.

Po chwili dzwonek nad drzwiami zabrzmiał po raz wtóry.

W barze zrobiło się bardzo cicho. Louetta nie mogła się zdobyć, by zadać Burke'owi pytanie, które zadać powinna. Dziwnie ją przytłaczał - jego potężna sylwetka rysowała się jak ogromny cień w półmroku. Wyraz jego oczu był spokojny, choć spojrzenie było przenikliwe. Louetta wolałaby, by rozejrzał się wokół i rzucił jakąś niezobowiązującą uwagę na temat wystroju jej lokalu - szszarałych zasłon w oknach albo kraciastych obrusów, które z pewnością najlepsze dni miały już za sobą. Wtedy mogłaby mu wyjaśnić, że nic tu się nie zmieniło, odkąd otwarto ten bar, czyli od pięćdziesięciu lat. Może wówczas lody zostałyby przełamane i mogłaby poruszyć temat, który tak bardzo jej ciążył.

Burke obserwował zmiany zachodzące na jej twarzy. Łatwo było ją rozszyfrować i trudno było jej się oprzeć. Potarł dłonią kark i w końcu zdecydował się przerwać ciszę.

- Spotkałem za rogiem pewnego starego mężczyznę siedzącego na ławce. Powiedział mi, że jakaś Josie przez cały ranek dostarczała ci kwiaty. Poznają lilię, które ci wysłałem. Czy reszta jest od Strykera?

Zwilżyła usta i odważnie podniosła na niego wzrok.

- Czy to ci przeszkadza?

- Przeszkadza? - Odetchnął głęboko. - W miłości i na wojnie wszystko uchodzi, nieprawdaż?

Większość kobiet skorzystałaby z nadzwyczajnej okazji i spytała, którą z tych dwóch okoliczności ma na myśli. Ale Lily pominęła tę oczywistą ahizję milczeniem i spytała wprost:



- Powiedz mi, Burke, dlaczego wróciłeś do Jasper Gulch?

Usłyszał cichy szelest jej spódnicy i wyobraził sobie, jak materiał ociera się o jedwabną, koronkową bieliznę. Nylonowe pończochy, które dwa i pół roku temu miała pod prostą, skromną sukienką, były dla niego przyjemną niespodzianką. Biała bluzka z lekko podniesionym kołnierzykiem i brązowa spódnica opinająca jej wąskie biodra, w którą teraz była ubrana, miały o wiele więcej kobiecego wdzięku niż strój, który wówczas nosiła. Nie mógł przestać się zastanawiać, czy nadal lubi przezroczystą bieliznę... Ciagle o tym myślał, aż do znudzenia. Do licha, naprawdę chciał się tego dowiedzieć!

Jednak najpierw powinien udzielić jej uczciwej odpowiedzi na zadane pytanie. Patrząc jej prosto w oczy, powiedział:

- Przyjechałem do Jasper Gulch, aby tu praktykować, zajmować się pacjentami, którzy dla mnie będą nie tylko numerami polis ubezpieczeniowych. Przyjechałem tu, ponieważ czułem taką potrzebę i to miasteczko wydało mi się dobrym miejscem do założenia rodziny... - Po jej twarzy przemknął jakiś grymas bólu, którego zupełnie nie zrozumiał, ale który skłonił go do dodania: - I również dlatego, że nigdy nie byłem w stanie zapomnieć o tobie. Bez względu na to, jak usilnie próbowałem.

- A więc jednak chciałeś zapomnieć?

Skrzyżował ramiona na piersi, ale szybko opuścił je i oparł ręce na biodrach. Do diabła, jeśli mógłby zapomnieć, ileż łatwiejsze byłoby życie! Podszedł do lady, na której obok staroświeckiej kasy stał kosz z jabłkami. Zmrużył oczy, raz jeszcze stając z Lily twarzą w twarz.

- Na ogół nie szukam przygód miłosnych w podróży - powiedział twardym tonem. - Możesz mi wierzyć albo nie, ale z tobą przytrafiło mi się to po raz pierwszy i ostatni. Samo myślenie o tym natychmiast mnie podnieca... - Zniżył głos, przybliżając się do niej. - Ta myśl nie daje mi spokoju...

Louetta nic nie mogła poradzić na to, że jej policzki się zarumieniły. W jej myślach również pojawiały się obrazy, które wprawiały ją w zakłopotanie. Musiała go natychmiast powstrzymać.

Gdy postąpił krok do przodu, uniosła rękę do góry.

- Zatrzymaj się!

- Wiedziałem, że właśnie to powiesz. - Ochrypli głos Burke'a przeszedł w stłumiony szept.

Louetta odwróciła się na pięcie i zaczęła przygotowywać stoły do zbliżającego się lunchu.

- Gdy nie wracałeś - powiedziała, zajęta pracą - przysięgam sobie, że już nigdy nie pozwolę, byś mnie zranił. Nigdy nie dam ci się zbliżyć do siebie ani nie zechcę, byś się do mnie zbliżył. Żyję sobie spokojnie, mam swój własny bar, a ostatnio zainteresował się mną bardzo miły facet, naprawdę niezła partia dla takiej dziewczyny jak ja...

Burke długimi susami przemierzył dzielącą ich odległość.

- Co masz na myśli? - powiedział tonem pełnym sprzeciwu.

- Dla takiej dziewczyny jak ty? Zasługujesz na wiele więcej niż spokojne życie i miły facet, którego nie kochasz!

Louetta głęboko westchnęła. Burke stał pośrodku sali, tak jakby od zawsze tu przynależał, a ona myślała wyłącznie o tym, by wziąć ją wreszcie w ramiona. Do licha, gdzie się podziała jej duma?

- Nie grasz czysto, doktorze - powiedziała.

- Louetto... - Jej imię wymknęło mu się jakby mimochodem. - Dla mnie to nie jest gra. I nigdy nie była.

Przymknęła powieki. Jakże chciałaby mu uwierzyć! Gdy znów otworzyła oczy, Burke pochylał się nad nią, a jego rozchylone usta drżały nierównym oddechem.

- Doktorze!

Drzwi otworzyły się z hukiem. Louetta i Burke odskoczyli od siebie gwałtownie.

- Jason! - krzyknęła Louetta. - Co się stało?

- Chodzi o Boomera! - krzyknął podekscytowany Jason Tucker, jeden z pomocników z pobliskiego rancza. - Jest poważnie ranny!

Burke wybiegł do samochodu.

- Mam torbę w samochodzie. Jedźmy!

Louetta chwyciła płaszcz Burke'a i wybiegła za Jasonem i Burke'em na dwór. Kilku starszych mężczyzn, którzy z salonu fryzjerskiego Eda zauważyli zamieszanie, wybiegło na ulicę.

- Co się stało? - zawołał jeden z nich.

- To Boomer! - odpowiedział Jason. - Potrzebuje lekarza. Spadł z dachu. Jed Harley zobaczył go leżącego bezwładnie na ziemi i zadzwonił do gabinetu doktora Maseya, ale go nie zastał.

- Doktor poszedł do Karla Hansona - wyjaśnił Burke, sięgając po torbę leżącą na tylnym siedzeniu.

- Crystal mi to samo powiedziała - rzekł Jason. - Powiedziała również, że jesteś w barze.

Louetta przytrzymała Burke'owi drzwi.

- Jak daleko leży ranczo Boomera? - spytał.

- Tylko dwanaście kilometrów stąd - odparła. - Ale trudno tam trafić i drogi są wyboiste.

- A więc ty prowadź.

- Chcesz dojechać tam w całości? - zawołał ktoś z tłumu.

- Lepiej znajdź sobie innego kierowcę! - dodał drugi.

- Igra pan ze śmiercią, doktorze - wtrącił się Jason Tucker. -Wszyscy wiedzą, że Louetta piecze doskonałe brzoskwiniowe ciasto i robi świetny sos chili, ale przecież nigdy w życiu nie siedziała za kierownicą. Czyż nie mam racji, Louetto?

Louetta spojrzała Burke'owi prosto w oczy, choć wiedziała, że policzki jej płoną.

- To prawda, Jasonie - powiedziała tak cicho, że trudno było

ją dosłyszeć. - Zawieź doktora na ranczo Boomera. Zadzwoń do Dory Lee.

- Zadzwońcie po karetkę - powiedział Burke, wsiadając do zabłoconej furgonetki Jasona Tuckera.

Louetta z sercem podchodzącym do gardła podała Burke'owi płaszcz, a potem patrzyła, jak obaj mężczyźni odjeżdżają na ranczo Boomera. Gdy Cletus pobiegł zadzwonić po ambulans, pospieszyła na drugą stronę ulicy, by zawiadomić Dorę Lee, że jej ukochany mąż został ranny.

Louetta chodziła po sali, dolewając gościom kawę. Starła się nie zwracać uwagi na rozbrzmiewające wokół rozmowy, a raczej płotki.

- A więc spadł z dachu, powiadasz?

- Ale po co naprawiał dach, gdy nikogo nie było w pobliżu?

- Słyszałem, że doktor Kincaid był wspaniały...

Louetta na dźwięk nazwiska Burke'a prawie przestała oddychać. Cletus McCully puścił do niej oko i na szczęście nie mrugnął nawet powieką, gdy kawałek ciasta, który mu serwowała, wylądował na jego talerzu spodem do góry.

- Nie denerwuj się, dziewczyno - powiedział. - Twoje ciastka są tak dobre, że nie ma znaczenia, jak je podajesz. - Uśmiechnął się porozumiewawczo.

Mężnie odwzajemniła uśmiech, a potem podeszła do lady, gdzie czekali starzy bracia Evertowie, by zapłacić za swój posiłek.

- Tym razem Boomer miał szczęście - powiedział siedemdziesięciodwuletni Hal. - Wygląda na to, że ma tylko lekki wstrząs mózgu i złamaną nogę. Wylize się. Ale strach go obleciał i na drugi raz z pewnością będzie ostrożniejszy.

- Święta prawda - zgodził się skwapliwie Ray. - Ale jeśli taki silny, zdrowy, młody człowiek jak Bommer może znaleźć

się tak blisko spotkania ze Stwórcą, to pomyśl, jak blisko my jesteśmy.

- Macie przed sobą jeszcze przynajmniej trzydzieści lat - powiedziała Louetta z uśmiechem, wydając Halowi resztę.

- Możliwe... - zadumał się Hal. - Ale wiem jedno. Stary Masey wiedział, co robi, sprowadzając tutaj tego nowego lekarza. Wygląda na to, że ten człowiek ma złote ręce, prawda, Louetto?

Szybko rozejrzała się wokół, zadowolona, że nikt poza nią nie zrozumiał podwójnego znaczenia ostatnich słów Hala. Czyżby Hal sugerował, że ona powinna najlepiej wiedzieć, jak sprawne ręce ma Burke?

Dó licha, każda inna kobieta w takiej sytuacji stałaby się przedmiotem żartów i niewybrednych aluzji. Oczywiście, że wcale by tego nie chciała, ale jednak.

Wydawało się, że pomimo wielkich postępów, jakie poczyniła przez ostatnie trzy lata, mieszkańcy Jasper Gulch nadal widzieli w niej jedynie skromną i dobrze ułożoną córkę organisty kościelnego, dziewczynę, którą koledzy ze szkoły ochrzcili mianem tej, która „raczej nie”.

Gdy ostatni goście dokończyli lunch i wyszli, była już całkiem wyprowadzona z równowagi. No tak, powtarzała sobie, oni wszyscy uważają, że Louetta Graham potrafi zrobić doskonały sos chiński oraz znakomitą szarlotkę, ale nie można po niej oczekiwać, że poprowadzi samochód, a poza tym, w ogóle nikt o niej nie myśli jak o normalnej kobiecie, posiadającej swoje pragnienia i potrzeby...

Nie chodziło o to, że chciałaby mieć złą opinię, po prostu nie mogła zrozumieć, dlaczego kowboje i ranczerzy, których znała od dziecka, nie dostrzegali w niej namiętnej, uczuciowej kobiety - kobiety pełnej ukrytych tęsknot i pragnień.

Gdy skończyła pierwszą partię zmywania, usłyszała klakson.

Kiedy dźwięk powtórzył się kilka razy, podeszła do okna i wyjrzała.

- Co ty wyprawiasz? - zwróciła się do Burke'a Kincaida, wychodząc na zewnątrz i wycierając ręce w fartuch.

Burke siedział w samochodzie przed barem; szybko miał opuszczoną, a dłonią raz po raz przyciskał klakson.

- Wsiadaj! - nakazał, zdejmując ręce z kierownicy.

- Co takiego?

Przesuwając się na siedzenie obok kierowcy, powtórzył:

- Wsiadaj.

- Co ty wyprawiasz, Burke? - Spojrzała niepewnie na kierownicę, a potem na wolne siedzenie kierowcy.

- Już najwyższy czas, byś nauczyła się prowadzić. Dzisiaj pierwsza lekcja.

W głębi jego orzechowych oczu widać było cień rozbawienia. Louetta instynktownie rozejrzała się wokół. Łatwo się było domyślić, że Burke swoim bezpretensjonalnym trąbieniem wzbudził ogromne zainteresowanie całej ulicy. Cletus McCully z grupą starszych mężczyzn stał przed zakładem fryzjerskim. Edith Ferguson i Bonnie Trumble wyglądały z okien salonu kosmetycznego, a Luke Carson i Wyatt McCully rozglądali się za sprawcą tego całego zamieszania.

- O co chodzi? - zapytał Burke, ponownie przyciągając jej uwagę. - Dlaczego się tak rozglądasz? Czy nikt dotąd ci nie zaproponował, że nauczy cię prowadzić?

- Nie - odparła, cała drżąc.

- A więc? - W tym pytaniu kryło się wyzwanie.

Nadal nie potrafiła się zdecydować.

- Chcesz stać na tym zimnie przez cały dzień? - ponaglił.  
- Może jednak spróbujesz?

Przelotnie zerknęła na swój bar. W środku paliły się światła, ale wiedziała z doświadczenia, że nikt nie pojawi się przez naj-

bliższe dwie godziny. Oznaczało to, że ma czas na śmiałą przygodę. Pytanie brzmiało: czy miała wystarczająco dużo odwagi?

Tak. Miała odwagę. Ale musiała się pospieszyć, by nie ulec różnym wątpliwościom i obawom, które od dawien dawna hamowały jej spontaniczne reakcje.

Szybko zdjęła fartuch, otworzyła drzwi i wślizgnęła się za kierownicę. Kolejny długi krok na drodze wychodzenia ze skrupy, pomyślała.

Burke pochylił się nad nią, by zamknąć okno. Zdjął już palec z automatycznego przycisku, ale nie wyprostował się, nie cofnął. Twarz jego zastygła tuż obok jej twarzy, jego ramię dotykało jej ramienia, a druga ręka spoczywała na siedzeniu tuż obok jej uda. Na moment wszystko przestało istnieć - cała jej nieśmiałość, wszystkie lęki i obawy, wścibscy obserwatorzy. Przez chwilę w luksusowym samochodzie było ich tylko dwoje. I przez chwilę znów była Lily - kobieta pewna siebie, swej zmysłowości i siedzącego obok mężczyzny. Ale chwila minęła jak sen i wraz ze wszystkimi swoimi lękami wróciła prawdziwa Louetta Graham.

- Zdobyłeś sobie popularność w miasteczku - odezwała się.  
- Wszyscy podziwiają, że tak szybko postawiłeś Boomerowi prawidłową diagnozę i odesłałeś karetkę do szpitala. Jesteś pewien, że chcesz uczyć mnie prowadzić w taki wyjątkowy dzień?  
- dodała.

Burke obserwował uważnie jej twarz, szczególnie po szczególe. Policzki miała zaróżowione od wiatru, ale to z powodu podniecenia jej szare oczy przesłoniła mgła. Była zniewalająco piękna. Zauważył to już podczas ich pierwszego spotkania i pamiętał, że dziwiło go, iż tak ślepi są tutejsi mężczyźni. Z dzisiejszego wypadku wyciągnął pewien wniosek. Otóż tutejsi mężczyźni dorastali wraz z nią i zdążyli przyzwyczaić się do jej wdzięku i urody, które brali za przymioty całkowicie naturalne. Burke

nie miał im tego za złe. Nie mógł jedynie pozwolić, by miała tak niskie poczucie własnej wartości.

Powiedziała, że Wes jest dla niej znakomitą partią... Przypomniał sobie urywki konwersacji na temat jej dzieciństwa - o ojcu, który ją uwielbiał, ale umarł, gdy była małą dziewczynką, oraz o nadopiekuńczej matce, która ją wychowywała. „Nieśmiała szara myszka” - tak na ogół mówiono o niej w Jasper Gulch.

Jednak podczas ich pierwszego spotkania nie było po niej widać nieśmiałości. Wystarczyło jedno spojrzenie w jej ciemnoszare oczy - i był stracony. Wystarczyła pieszczota jej dłoni, jedno muśnięcie warg - i musiał ją mieć.

Na zewnątrz samochodu hulał wiatr, ale wewnątrz było mu ciepło u boku Lily. I byli sami.

- Powiedz mi, co mam robić...

Przez chwilę, tak krótką jak mgnienie oka, pomyślał, że jego marzenia się urzeczywistniają. Gdyby tak przysunęła się bliżej, położyła dłoń na jego dłoni, a usta na jego ustach... Zaszumiało mu w głowie z podniecenia.

- Może nie jesteś ubezpieczony? - spytała, zdziwiona długim milczeniem.

Ubezpieczenie... Powoli wracał do rzeczywistości. Nauka jazdy. Mówiła o nauce jazdy.

Erotyczne wizje zniknęły mu sprzed oczu.

- Nigdy nie pytaj lekarza o ubezpieczenie - powiedział, przesuając się niechętnie na swoje miejsce. - Przekręć kluczyk w stacyjce...

Palce jej lekko drżały, ale silnik samochodu zaczął mrużyć jak kot wylegujący się na słońcu.

- Dobrze. Teraz połóż nogę na hamulcu, a potem delikatnie przesun dźwignię biegów wstecz... Teraz zdejmij nogę z hamulca i lekko naciśnij gaz.



Uśmiechnął się pobłaźliwie, ponieważ w momencie, gdy samochód ruszył, Lily raptownie wcisnęła hamulec.

- Spróbuj raz jeszcze - powiedział. - Nic nie jedzie, widzisz? Gdy znajdziemy się poza miastem, musisz tyłko uważać, by nie wylądować w rowie.

Tak mocno chwyciła kierownicę, że aż zbieła jej palce.

- Doskonałe! - pochwalił ją, gdy wolno sunęła ulicą. - Teraz zobaczymy, czy potrafisz pojechać szybciej niż dziesięć kilometrów na godzinę.

- O Boże, Burke! Prowadzę! Naprawdę prowadzę!

Burke rozsiadł się wygodnie w fotelu i zerknął na profil Lily. Kilka niesfornych kosmyków włosów wymknęło się spod szerokiej opaski. Wargi miała czerwone, pełne i nawet próbowała się uśmiechnąć.

- Jadę! - ucieszyła się. - Naprawdę jadę - powtórzyła z niedowierzaniem, zerkając na niego.

Skinął głową, ale uśmiech zamarł mu na ustach, gdy podjechali niebezpiecznie blisko skrzynki pocztowej stojącej na chodniku.

- Ojej! - zawołała, gwałtownie skręcając kierownicę.

- Wszystko w porządku - pocieszył ją. - Idzie ci świetnie.

- Czy to naprawdę ja? - spytała ze zdziwieniem. - Cicha, nieśmiała Louetta Graham? Tak, potrafię robić wszystko, co zechcę! Nauczyłam się prowadzić bar. Potrafię dotrzymać przysięgi i nawet powstrzymać się przed pocałowaniem ciebie! Brawo!

W głowie Burke'a zadudniły bębny. Jechali w milczeniu, tylko z włączonego radia cicho sączyła się stara westernowa melodia. Serce Burke'a biło dokładnie w rytm tej muzyki, ale nie mógł przestać myśleć o złożonej przez nią przysiędze, że powstrzyma się i nie będzie go całować...

Obserwował ją uważnie, świadom był każdego jej ruchu

i gestu. Widział, w którym dokładnie momencie wciągnęła powietrze i zwolniła nieco uchwyt na kierownicy. Wyglądało na to, że potrafi uważnie słuchać i szybko się uczy. Oczywiście, zauważył to już pierwszej nocy, którą spędził w Jasper Gulch.

- Trzeba przejechać przez most na Sugar Creek - oświadczyła i tak gwałtownie zahamowała, że polecieli do przodu.

- Dlaczego stanęłaś? - zapytał. - I co, u diabła, masz na myśli, twierdząc, że nie zamierzasz mnie pocałować?!

Zerknęła na niego, a potem na most, przysypany puszystym, białym śniegiem.

- Nikt nie jedzie - zachęcił ją. - Jedź, Lily! Dasz sobie radę. Po prostu staraj się jechać środkiem.

Nim ruszyła, tak mocno ścisnęła kierownicę, że palce jej znów zbiały. Burke był pewien, że szybciej przeszedłby most na piechotę. Gdy wreszcie dotarła na drugi brzeg, znów stanęła. Rozejrzała się wokół, chcąc stwierdzić, jaki dystans pokonała.

- Prowadzenie samochodu wcale nie jest trudne - oświadczyła z dużą pewnością siebie. - Następnym razem, gdy zdarzy się wypadek, może będę mogła ci pomóc.

- Już mi przecież pomogłaś - powiedział, zbliżając twarz do jej twarzy. - Dopilnowałaś, by wezwano karetkę i powiadomiłaś Dorę Lee.

Serce Louetty biło mocno, jak po długim biegu. Spoglądając do tyłu, na ślady opon samochodu, głęboko westchnęła. Nadal czuła się trochę niepewnie, ale najgorsze miała za sobą.

- Nie masz pojęcia, jakie to uczucie, gdy wszystkiego się boisz, gdy zmuszasz się, by zrobić najmniejszy ruch. A w dodatku nikt nie zwraca na ciebie uwagi, przyjmując to, co robisz, jak coś oczywistego.

- Ja cię tak nie odbieram, Lily.

Oczy ich się spotkały. Nagle przyszło jej do głowy, że jazda po ośnieżonych drogach nie wymagała tyle samozaparcia, co

powstrzymanie się od muśnięcia dłonią jego policzka. Popatrzyła w jego okolone długimi rzęsami, orzechowe oczy, potem przeniosła wzrok na wystające kości policzkowe, wreszcie zatrzymała się na ustach, uśmiechniętych trochę wyzywająco.

Nie mogła się pohamować i koniuszkiem palca dotknęła ich.

- Masz usta poety - szepnęła. Potem szybko spojrzała za siebie i przed siebie, wreszcie spytała: - Jak daleko mam zajechać"?

- Słucham?

Poczuła dziwną potrzebę, by się do niego uśmiechnąć. Burke najwyraźniej dostrzegł w jej pytaniu drugie dno. Był inny niż miejscowi mężczyźni - nie tylko w sposobie poruszania się czy ubierania. Przez całe życie otaczali ją kowboje i ranczerzy, ale żaden z nich nie obudził jej zmysłów, nie doszukiwał się w jej słowach erotycznego podtekstu. Burke robił to pierwszy.

- Jak daleko chcesz dojechać samochodem? - uściśliła.

Burke usiłował odzyskać kontrolę nad własnym oddechem. Przypuszczał, że reakcja Lily była automatyczna. Nerwowe oblizanie suchych warg, drżenie rąk, które mocno zaciskała na kolanach - prawdopodobnie było instynktowne.

- Przypuszczam, że możemy pojechać tak daleko, jak będziesz chciała - powiedział wreszcie.

Spojrzała na niego z uśmiechem.

- Stąd wniosek, że należy kontrolować swe pragnienia.

- A czego ty pragniesz? - spytał.

Popatrzyła gdzieś ponad jego ramieniem przez okno - w przestrzeń, gdzie Sugar Creek ostro skręcał na zachód.

- Tyle jest rzeczy, których chciałabym spróbować. Czy wiesz, że nigdy w życiu nie byłam niegrzeczna, nieposłuszna? No, może prócz tej nocy, gdy skończyła ci się benzyna... i raz jeszcze, gdy pożyczyłam sobie elegancką bieliznę, którą wisiąła na sznurku Lisy i Jillian. Och, to było okropne! Lisa myślała,

że ktoś ją ukradł, a ja byłam tak zażenowana, że próbowałam ją ukradkiem oddać. Lisa i Wyatt złapali mnie na gorącym uczynku. Ostatecznie Lisa ofiarowała mi tę bieliznę, a ja czułam się potwornie upokorzona. No cóż, nawet jedenastoletnia Haley Carson, która po szkole przychodzi do mojego baru zmywać naczynia, jest bardziej śmiała ode mnie. Co prawda nabrała nieco ogłady, odkąd jej ojciec poślubił Melody McCully, ale nadal miewa szalone pomysły. Wyobraź sobie, że pływała nago, gdy miała dziewięć lat! Dużo bym dała za odrobinę tego rodzaju odwagi!

Burke'owi nadal kręciło się w głowie z powodu jej wcześniejszego oświadczenia na temat całowania go, a raczej - niecałowania. Wzmianka o eleganckiej bieliznie tylko powiększyła zamęt w jego głowie.

Patrząc Lily prosto w oczy, powiedział:

- Śmiem twierdzić, że jest trochę za zimno na pływanie nago, ale jeśli masz ochotę...

Gdy napotkała jego prowokujące spojrzenie, szybko odwróciła głowę. Popatrzyła na brzeg strumienia, na śnieg, a potem na swoją spódnicę.

Wielki Boże, pomyślał z przerażeniem Burke. Ona naprawdę chciałaby to zrobić!

- Muszę cię ostrzec, Lily - rzekł zduszonym głosem. - Jeśli pojedziemy pływać nago, będę cię całować.

Niemal usłyszał, jak wstrzymała oddech. Zobaczył w jej oczach błysk niezdecydowania, nim dumnie uniosła podbródek.

- Lepiej zacznę od czegoś mniej bulwersującego. A poza tym, Burke, zamierzam dotrzymać słowa i nie będę cię całować. A przynajmniej dopóki nie powiesz mi prawdy, dlaczego wróciłeś dopiero teraz...

Dzielnie wytrzymała jego spojrzenie, ale Burke nie dał się zwieść. Palce jej drżały, całe ciało wibrowało, jak u małego

zwierzątko schwytanego w pułapkę. Nie, nie wyglądała jak uwięzione zwierzątko... Przypominała ptaka siedzącego na brzegu gniazda, który gotów jest do lotu, ale boi się wzbić w powietrze.

Wydawało mu się, że poznał ją całkiem dobrze. Ale dopiero teraz zaczynał poznawać jej dragą naturę - tę, której na imię było Louetta. W tym wydaniu podobała mu się również.

Ale jak zareaguje, gdy dowie się prawdy?

A prawda była zwyczajna. Bolesna.

Chciał wrócić. Bóg tylko wie, jak bardzo chciał. Nigdy dotąd nie musiał podejmować tak trudnej decyzji. Dokonał wyboru. I próbował nie oglądać się wstecz. Wiedział, że nie mógłby osiągnąć spokoju ducha, gdyby postąpił inaczej.

Wpatrywał się w Lily, w jej oczy, które sprawiały, że serce zaczynało bić szybciej. I próbował uporządkować myśli, usiłował sformułować odpowiedź, znaleźć sposób, by jej powiedzieć...

Ale czy mógł jej powiedzieć?

Czy mężczyzna mógł powiedzieć tak pięknej i wrażliwej kobiecie jak Louetta, że nie przyjeżdżał przez dwa i pół roku z powodu małżeństwa z kimś innym?

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Burke wyglądał przez okno. Było wczesne popołudnie, ale wydawało się, że jest później, do najkrótszego dnia w roku brakowało bowiem zaledwie kilku tygodni. Niebo było szare, a słońce już zachodziło.

Przypomniawszy sobie zimę, gdy skończył dwadzieścia lat i przejechał przez cały kraj w poszukiwaniu czegoś ulotnego, czego mu brakowało w życiu. Może jego sensu? Gdy dojechał do Arizony, postanowił ruszyć w kierunku zachodzącego słońca. Dotarł do wybrzeża Kalifornii, w momencie gdy słońce chowało się w Pacyfiku. Obserwował ciemności ogarniające niebo, brodząc po chłodnym piasku plaży. Wówczas zrozumiał, że sensu życia nie znajdzie się na zewnątrz, Należy go szukać wewnątrz siebie. Po powrocie do Waszyngtonu od razu rozpoczął studia medyczne.

Już nigdy nie odczuł tak namacalnie końca dnia jak wówczas. Aż do dzisiaj... I nigdy bardziej nie pragnął, by zapadła ciemność. A w tej ciemności pragnął przytulić do serca kobietę. Lily.

Czy mógł wyznać jej miłość, wiedząc, że jednocześnie sprawi jej ból, opowiadając o innej kobiecie, którą poślubił, choć jej nie kochał? Denise kochała go, ale go zawiodła... Ilu zakochanych ludzi, mając dobre intencje, popełnia błędy? Dwa lata Denise żyła z poczuciem winy. W wieku zaledwie trzydziestu dwóch lat zmarła na skutek wylewu. Ale czy śmierć może mieć związek z winą i karą?

Jak by tę wiadomość przyjęła Lily? Lily, która siedziała

spokojnie oparta o drzwi i czekała. Jeśli jej teraz powie, czy nadal będzie chciała wzbic się w powietrze, jak ten ptak gotujący się do lotu? A może słowa te, choć złamią jej serce, pomogą jej wrócić do normalnego, spokojnego życia w Jasper Gulch?

Burke zacisnął dłonie w pięści. Nie wiedział, co robić. Może powinien wyznać prawdę i zobaczyć, co się stanie...?

A jeśli popchnie to Lily prosto w ramiona Strykera?

Nie kochała Strykera. Burke dobrze o tym wiedział. Ale to jeszcze nie oznaczało, że nie poślubi byłego championa rodeo. Być może będzie próbowała wmówić sobie tę miłość. Burke wiedział z własnego doświadczenia, jak niecznośna, jak pusta jest taka egzystencja.

Podjął decyzję. Wyzna jej prawdę. Ale dopiero wówczas, gdy zyska pewność, że Lily nie wycofa się do swojej skorupy.

Przysunął się bliżej i odgarnął pukiel włosów z jej policzka.

- Naprawdę miałem ważny powód i pewnego dnia wszystko ci wyjaśnię - powiedział. - Obiecuję. A tymczasem będę bardzo szczęśliwy, jeśli pomogę ci być niegrzeczną dziewczynką. Ale muszę ci wyznać, że powstrzymanie się od całowania ciebie będzie dla mnie wielkim wyzwaniem.

Louetta spojrzała mu prosto w oczy. A więc nie zamierzał się wytłumaczyć... Do diabła z nim! Z zadowoloną miną proponował, że pomoże jej być „niegrzeczną dziewczynką”! A w dodatku poważnie zastanawiała się nad jego propozycją! Do diabła!

- Powinniśmy już wracać - powiedział zmysłowym głosem. Do diabła z nim!

Czuła, że stąpa po rozżarzonych węglach. Miała tego dość. Naprawdę dość.

- Jesteś gotowa? - ponaglił.

Popatrzyła prosto przed siebie.

- Masz na myśli jazdę do Jasper Gulch?

- Aby podjąć wyzwanie - wyjaśnił szybko.

- Jakie wyzwanie? - Odwróciła ku niemu wzrok, postanawiając, że będzie traktować go chłodno, z dystansem.

- To ty przysięgłaś sobie, że nie będziesz mnie całować - przypomniał. - Musisz podać kolację gościom. A może po zamknięciu baru przyjdiesz do mnie, by poćwiczyć powstrzymanie się od całowania? - zażartował. - Coś bym ugotował - dodał tonem zachęty.

- Potrafisz gotować? - zdziwiła się szczerze.

- Na tyle dobrze, by nie umrzeć z głodu. - Był wyraźnie rozbawiony. - I co ty na to? Szansa puka do drzwi. Co ci jest? - dodał, gdy wpatrywała się w niego w kompletnym osłupieniu. - Czyżby cię strach obleciał?

Wyprostowała ramiona i uniosła podbródek.

- Mnie? - Bez słowa przesunęła dźwignię biegu na właściwą pozycję i wolno ruszyła w stronę miasta,

- Wejdz! - Głos Burke'a był stłumiony, jakby dochodził z innego pokoju.

Louetta z obawą uchyliła frontowe drzwi. Właściwie była przerażona. I zła na siebie, że jest takim tchórzem.

- Burke?

- Już idę! - zawołał. - Mieszam sos!

Tupnęła nogami, by oczyścić buty z błota, zamknęła za sobą drzwi i rozejrzała się wokół. Wczoraj, gdy przyszła tu, aby powiedzieć Burke'owi, że Lily to prawdziwe zdrobnienie jej imienia, w mieszkaniu było jasno. Teraz dochodziła ósma i na dworze panował mrok. Zazwyczaj o tej porze roku, na początku grudnia, śnieg oświetlał drogę. Ale w tym roku pogoda nie mogła się zdecydować. Śnieg, który spadł zaledwie wczoraj, zdążył już stopnieć pod wpływem ciepłego, niemal wiosennego wiatru i naprawdę trudno było odczuć atmosferę nadciągających świąt Bożego Narodzenia.



Rozpinała płaszcz, gdy Burke znów się odezwał:

- Rozgość się, proszę. Zaraz do ciebie przyjdę.

Powiesiła płaszcz na wieszaku stojącym w kącie i wolno przeszła się po salonie. Gdy była tu wczoraj, Burke rozpakowywał kartony. Dziś na półkach stał rząd grubych medycznych książek. Zainteresowała się jedną z nich, potem odłożyła ją na miejsce i zajrzała do następnego pokoju. Stół nakryty był do kolacji. Czerwone serwetki, biała porcelana. Wielki Boże, nie mogła uwierzyć, że naprawdę zgodziła się zjeść kolację z Burke'em!

Może gdyby miała więcej doświadczenia z mężczyznami, potrafiłaby stawić mu opór i wydusić z niego prawdę. Może wiedziałyby, co powinna teraz robić, jak się zachować...

Powietrze wypełniał zapach dymu z palonego drewna oraz smakowity zapach sosu do spaghetti. Trzaskanie ognia w kominku zwabiło ją do jadalni. Ogień zaczynał dopiero lizać sosnowe szczapy. Trzeszczał pnąc się wyżej i wyżej; z sykiem objął pierwsze polano.

Widok ognia podziałał na nią hipnotyzująco.

- Mam nadzieję, że lubisz spaghetti.

Zerknęła przez ramię. Burke stał oparty o futrynę, ścierkę w kratkę miał przerzuconą przez ramię, czarne spodnie ciasno opinały mu biodra, a biały golf przylegał do torsu niczym druga skóra. Na nogach miał tylko skarpetki. Louetta była zadowolona, że nie zdjęła butów. Dzięki kilkucentymetrowym obcasom łatwiej jej było spojrzeć Burke'owi prosto w oczy.

- Któżby nie lubił spaghetti? - spytała.

- Miałem nadzieję, że właśnie to powiesz. - Odwrócił się i z powrotem poszedł do kuchni.

Louetta, nie wiedząc co robić, pospieszyła za nim. Przystanąła w drzwiach i oparła się o futrynę, w taki sam sposób jak on przed chwilą.

Z odtwarzacza dobiegały dźwięki znanej jej z filmu, spokoj-

nej melodii. Louetta zerknęła na głośniki, potem na plecy Burke'a, zastanawiając się, czy na pewno wybrał tę muzykę przypadkiem. A może pamiętał, że piosenka o Smoky Mountains należała do jej ulubionych?

- Ładnie pachnie - odezwała się niepewnie.

Od kilku godzin wiedziała, co Burke przygotuje na kolację. Gdy tylko wyszedł ze sklepu spożywczego, całe miasteczko już wiedziało, że kupił sos do spaghetti, mrożone truskawki i kruche ciasteczka.

Odłożył ścierkę na blat i zamieszał bulgocący sos.

- W kuchence mikrofalowej potrafię ugotować wszystko - stwierdził z dumą. - I na ogół udaje mi się nie uruchomić alarmu przeciwpożarowego.

Z drugiego garnka buchnęła para. Burke zdjął pokrywkę.

- Nigdy nie wiem, ile wrzucić makaronu - przyznał.

- Makaron potrafi płątać niespodzianki - odparła z uśmiechem.

Odwrócił się i odwzajemnił uśmiech. Louetta czuła, że ścisną ją w gardle. Samo przebywanie z nim w jednym pomieszczeniu wprawiało ją w dziwny niepokój. Gdy patrzył na nią tak intensywnie, wprost tonęła w jego spojrzeniu.

- Mogę ci w czymś pomóc? - spytała, zła na siebie, że głos jej brzmiał tak słabo.

- Mam wszystko pod kontrolą - odparł, potrząsając puszką bitej śmietany. Gdy nieopatrznie odwrócił ją do góry dnem, śmietana wylała się prosto na jego sweter i rękę.

Louetta chwyciła ścierkę i pospieszyła z pomocą. Burke podniósł dłoń do ust, jakby chciał zlizać śmietaną, ale spoglądając na Louettę, wolno opuścił rękę i czekał.

Louetta stała w bezruchu. Nie mogła wykrztusić słowa.

-Mówiłaś, że chcesz być trochę niegrzeczną dziewczynką... - szepnął, patrząc hipnotycznym wzrokiem w jej oczy.

Wyprostowała ramiona. Powinna się kontrolować, ale diabelski uśmiech Burke'a znów zapanował nad jej zmysłami. Zapragnęła odrzucić ostrożność, wyzwolić się z nieśmiałości, przełamać rezerwę, którą sama sobie narzuciła. Śmiało sięgnęła po jego rękę i podniosła ją do ust.

Burke głęboko, nierówno, chwycił w płuca powietrze. Było w niej coś odmiennego - czego nie było dwa lata temu. Nie chodziło tylko o uśmiech... Obdarzała nim prawie każdego, kogo znała. I nie chodziło także o jej nowy, staranniejszy makijaż, wyraźniej uszminowane usta. To było coś innego - coś zupełnie niezwykłego, płynącego prosto z jej serca.

I już się nie rumieniła.

Gdy poczuł, że odsuwa się od niego, musiał walczyć ze sobą, by nie chwycić jej w ramiona i nie przyciągnąć do siebie.

- Nie mogę uwierzyć, że to zrobiłam - powiedziała, spokojnie patrząc mu w oczy.

Burke również nie mógł uwierzyć w to, co się działo. Gdy chodziło o Lily, niczego nie był już pewien. Ale jakże nie miał uwierzyć, że scałowała słodką śmietaną z jego dłoni, skoro nadal czuł gorący dotyk jej ust? I musiał wykorzystać całą siłę woli, by opanować ogarniające go podniecenie.

- Nigdy nie zdawałam sobie sprawy - dodała, jakby nie zauważając, w którą stronę biegły jego myśli - że takie... nie stosowne zachowanie może być tak bardzo zabawne.

Wymienili długie, znaczące spojrzenie.

- Odpowiedz mi na jedno pytanie? - zapytał, a gdy skinęła głową, powiedział: - Dzisiaj, podczas jazdy za miasto, wspomniałaś o czymś, co mnie ogromnie zaciekało... Powiedziałaś, że nigdy w życiu nie byłaś... niegrzeczna, prócz tego weekendu, który spędziłaś ze mną oraz jednego przypadku, gdy pożyczylaś sobie koronkową bieliznę przyjaciółki... Nie uważam, by to, co zrobiliśmy, było w jakimkolwiek sensie nieprzy-

zwoite. To było niewiarygodnie piękne i ogromnie zmysłowe. Czy nadal...

Louetta z wrażenie nie śmiała się poruszyć. Nie zwracała uwagi na uporczywy dzwonek minutnika, który docierał skądś do jej świadomości. Krew odpłynęła jej z twarzy, a w okolicy serca gromadził się żar, który z wolna rozchodził się po jej ciele aż do koniuszków palców.

- Czy nadal lubisz folkową muzykę?

Narastający w uszach szum zacierał dźwięki dochodzące z zewnątrz. Zrobiła wysiłek, by zrozumieć pytanie. Była pewna, że zamierzał zapytać ją o coś innego, coś bardziej osobistego. Może o to, co skłoniło ją do pójścia z nim do łóżka tamtej nocy albo czy nadal lubi skąpa, erotyczną bieliznę...

- Chcesz wiedzieć, czy nadal lubię folkową muzykę? - spytała z niedowierzaniem.

- A myślałaś, że o co pragnę cię spytać? - Wbił wzrok w jej szare, błyszczące teraz oczy.

Zagryzła wargę, zawahała się kilka sekund, a potem powiedziała wprost:

- Myślałam, że masz raczej zamiar spytać mnie, czy nadal noszę czarną, przezroczystą bieliznę?

Postąpił krok w jej kierunku. Jego spojrzenie unieruchomiło ją w miejscu. Objął ją ramionami i przechylił na błąt.

- Naprawdę?

Dawno temu obiecała sobie, że już nigdy nie stanie się ofiarą jego namiętności. Nie mogła jednak oprzeć się wyrazowi otwartej tęsknoty, który malował się na jego pociemniałej z pożądania twarzy. Burke wyzwał w niej uczucia, reakcje, pragnienia, których nie wyzwolił nikt inny. I pamiętał, że kocha folkową muzykę...

Pochylał teraz nad nią twarz, usta ich były tak blisko siebie... Wiedziała, że powinna o czymś pamiętać, o pewnej obietnicy, którą sobie złożyła. To dziwne, ale wydawało się, że nie może

skupić myśli, że potrafi tylko płytko, urywanie oddychać, oczekując, aż usta Burke'a dotkną jej warg.

Nagle głośny dźwięk syreny przeszył powietrze.

Louetta odskoczyła do tyłu, serce podeszło jej do gardła. Niejasno przypomniała sobie, że kilka minut temu dzwonił minutnik...

Z piekarnika wydobywał się dym i docierał prosto do czujników przeciwpożarowych.

Burke chwycił ścierkę, otworzył piekarnik i wyciągnął naczynie z przypalonymi pasztecikami. Louetta uchyliła okno i włączyła wentylator.

Gdy syrena powoli milkła, obydwójce stali i bezradnie wpatrywali się w spalone szczątki pasztecików.

- A mówiłeś, że udaje ci się zwykle nie uruchamiać alarmu przeciwpożarowego. - Spojrzała na niego, dostrzegła iskierki rozbawienia w jego oczach i zaczęła się śmiać.

- Tak naprawdę, to raczej nie umiem gotować - wyznał ze skruchą, a potem również się roześmiał.

Wydawało się, że minęło dużo czasu, nim śmiać się przestali. Właściwie pokładali się ze śmiechu. Louetta uświadomiła sobie, że żaden mężczyzna nie potrafił jej tak bardzo rozśmieszyć. Stała teraz, przytulona do jego piersi, z głową w zagłębieniu jego obojczyka, on zaś obejmował jej plecy. Tak ładnie pachniał. .. Trochę jak bita śmietana, trochę jak przypalony chleb, ale przede wszystkim -jak mężczyzna.

Gdy uniosła głowę, zobaczyła, że bacznie jej się przygląda.

- Uważaj się za prawie pocałowaną - powiedział z rozbawieniem.

Nie mogła w nieskończoność stać bez ruchu, wyslizgnęła się więc z jego ramion, w milczeniu podeszła do kuchenki i zaczęła mieszać sos.

Burke, odcedzając makaron, zastanawiał się, czy Lily, a raczej

Louetta, zdawała sobie sprawę z uśmiechu, który przemknął przez jej twarz. O Boże, jakże była piękna! Ciemnoniebieska sukienka, którą miała dziś na sobie, uwydatniała jej figurę.

- Mam nadzieję, że wiesz, ile mnie kosztuje to twoje niecałowanie mnie - powiedział, patrząc na parujący makaron.

Kątem oka zauważył, że uśmiecha się coraz szerzej. O tak, doskonale wiedziała, ile go to kosztuje. I najwyraźniej była zadowolona!

Pomyślał, że dziś wieczór nie tylko ona ma powody do radości. Jeśli tak dalej pójdzie, niebawem sama przyzna przed sobą i przed nim - że go kocha. Stryker przejdzie do historii, on zaś będzie mógł opowiedzieć jej o Denise. Przeszłość zostanie definitywnie pogrzebana. I będą mogli, tak jak planowali to dwa i pół roku temu, rozpocząć nowe, wspólne życie.

- No już - powiedziała Louetta, odstawiając na suszarkę ostatnie naczynie.

Burke sięgnął po garnek i zręcznie wytarł go od zewnątrz; powolne, metodyczne ruchy kłóciły się z mocnym biciem jego serca. Stał oparty o kuchenny blat i uważnie słuchał opowieści Louetty.

Opowiadała historię o Jasperze Carsonie, który razem z żoną, którą wygrał w pokera, założył to miasteczko dzięki złotu wydobytemu w Black Hills.

- Jasper Carson miał trzech synów - mówiła. - Wieść głosi, że byli niezwykle atrakcyjni, a więc, zgodnie z tutejszymi standardami: męscy, szorstcy i zaniedbani.

Chowając garnek do niskiej szafki i robiąc przy tym mnóstwo hałasu, Burke skomentował:

- Każdy facet będzie tak wyglądał, goląc się raz w tygodniu i spędzając kilkanaście godzin na twardym siodle w towarzystwie samych kowbojów i kojotów.

Louetta popatrzyła na niego w zamyśleniu. Czyżby chciał ją sprowokować? Z jego oczu biło ciepło i zmysłowy, uwodzicielski blask. Wyglądał tak jak wtedy, gdy scałowy wała z jego dłoni śmietaną. Wielkie nieba, nigdy nie uwierzy, że była do czegoś podobnego zdolna! Przynajmniej dobrze, że nie pocałowała go w rękę, choć w dużej mierze uratował ją przed tym wybrykiem alarm przeciwpożarowy. Powinna pójść do domu, nim zrobi coś, czego jutro będzie żałować.

- Robi się późno - powiedziała.

- Mamy mnóstwo czasu - zaproponował. - Pamiętaj, że chciałaś być trochę niegrzeczna...

- Wcale nie - zaprzeczyła, choć nie była to prawda.

- Nie? A jaka chciałaś być? - Postąpił krok w jej stronę.

- Wszyscy mamy swoje marzenia, aspiracje. Jakie są twoje?

Z trudem przełknęła ślinę. Historia Południowej Dakoty pełna była niezwykłych przygód poszukiwaczy złota, kowbojów, ranczerów i rewolwerowców oraz plag szarańczy i susz - ale ona zawsze uważała, że prawdziwymi bohaterkami tej ziemi były kobiety, które dzielnie pomagały swoim mężczyznom przetrwać najtrudniejsze chwile. Abigail Carson była pierwszą kobietą, która osiadła w tych stronach. Potem znalazła wiele odważnych naśladowiczek. Niektóre pojawiły się całkiem niedawno, trzy lata temu, odpowiadając na ogłoszenie miejscowych kawalerów. Louetta pragnęła być podobna do tych wszystkich męskich kobiet.

Do diabła z tym! Była już naprawdę zmęczona wiecznymi rozterkami ducha, które wynikały ze sprzeczności pomiędzy jej pragnieniami i chęciami a zahamowaniami charakterologicznymi wynikającymi z nieśmiałości.

- Zapewne domyślasz się, czego naprawdę chcę - powiedziała, prostując ramiona.

Burke nie odpowiedział. Stał bez ruchu, czekając na jej dalsze słowa.

- Chciałabym najpierw usłyszeć od ciebie kilka wyjaśnień. W kominku zaskwierczało drewno. Za oknem wył wiatr.

- Nie jestem pewien, czy powinienem... Nie wiem, czy jesteś gotowa przyjąć prawdę.

Najwyraźniej nie była to odpowiedź, jakiej oczekiwała. Uniosła wysoko brwi i popatrzyła na niego wyniośle.

- Kto ci dał prawo o tym decydować - powiedziała z irytacją.

Nigdy nie widział jej w takim stanie. Była naprawdę zdenerwowana. W gruncie rzeczy miała ku temu powody.

- W porządku, Lily - skapitulował, przeczesując palcami włosy. - Co chciałabyś wiedzieć?

Wzięła głęboki oddech i wolno zbliżyła się do niego.

- Nie uwierzyłybyś, co sobie wyobrażałam przez te dwa i pół roku.

Oczy miała szeroko otwarte, usta jej pobladły. Chciałby ją pocałować, objąć, poczuć miękki dotyk jej ramion.

- Przepraszam, że przeze mnie musiałaś przez to wszystko przejść. - Wyciągnął ku niej rękę.

Louetta czuła, jak jakaś niewidzialna siła popycha ją w jego kierunku. Tak samo działało się owej pamiętnej kwietniowej nocy. Wówczas uległa, ale dziś wieczorem postanowiła być twarda. Najpierw musi uzyskać kilka odpowiedzi.

- Nie mogłam uwierzyć, że byłeś zwykłym podrywaczem, który wykorzystuje dziewczynę na jedną noc. I powtarzałam sobie, że jeśli nadal żyjesz, to wrócisz. Nie masz pojęcia, jakie okropne wypadki przychodziły mi do głowy. Wyobrażałam sobie nawet, że nagle doznałeś amnezji i o mnie zapomniałeś. Ale tak nie było, prawda?

Pokręcił głową.

- Nigdy o tobie nie zapomniałem, Lily.

- A jednak - powiedziała głosem cichym, przechodzącym



w szept - stało się coś, co zmieniło twoje plany. Musiało to być coś naprawdę poważnego... Czy odmieniłbyś przeszłość, gdybyś mógł?

W pokoju zapadła cisza. Złowieszcza, martwa cisza,

- Pytasz mnie, czy zmieniłbym przeszłość? - powtórzył.

Nie wycofała się, nie spuściła wzroku.

- To chyba nie takie trudne pytanie - odparła, a gdy nie odpowiadał, dodała: - Wystarczy proste „tak” lub „nie”.

Burke czuł narastające napięcie. On jeden wiedział, że podjęcie wówczas decyzji nie było proste. Ostatecznie po powrocie do Seattle dwa i pół roku temu, zrobił naprawdę to, co zrobić należało. O Boże, czyż mógł to zmienić?

- Widzisz, Lily... - zawahał się znów - są sprawy, o których nic nie wiesz... - Zamknął oczy i powiedział: - Zmiana przeszłości zmieniłaby także przyszłość.

- Czy to oznacza „tak”, czy „nie”?

Chociaż wiele go to kosztowało, w końcu lekko pokręcił głową. Usłyszał jej urywany oddech, zobaczył w jej oczach łzy. I znów ją zranił - tak samo, jak zranił ją wtedy. Ale co miał począć? Skłamać?

- Lily... - Przesunął ręką po twarzy, postąpił niepewny krok do przodu. - Mogę i chcę to wyjaśnić.

Rozległo się pukanie do drzwi. Louetta podskoczyła nerwowo, Burke zaklął pod nosem. Gdy długimi krokami podszedł do drzwi, stanął twarzą w twarz ze Strykerem.

- Dobry wieczór, doktorze.

Burke zrobił wściekłą minę. Jeszcze tylko Stryker był mu teraz potrzebny!

- Co ty tu robisz?

Na widok marsowego wyrazu twarzy Burke'a, Stryker tylko mrugnął okiem i nawet nie mówiąc „przepraszam”, wtargnął do pokoju.

- Dobry wieczór, Lou - powiedziała, a potem zawołała w stronę drzwi: - Dawajcie tu, chłopa!

Chociaż oczy Louetty zamglone były łzami, rozpoznała mężczyzn, którzy pojawili się w pokoju. Neil, Ned i Norbert Andersonowie prowadzili wspólnie ranczo położone dwadzieścia cztery kilometry na zachód od miasta. Potrafili ładnie śpiewać i jeszcze lepiej grać na gitarach, głównie muzykę country, obsługiwali więc każde wydarzenie towarzyskie w Jasper Gulch i okolicy. Po raz pierwszy jednak Louetta zobaczyła ich z gładko zaczesanymi do tyłu włosami i sztucznymi wąsami.

- Co się dzieje? - spytała Wesa.

Wes skinął na Norberta, który wyjął z kieszeni ustną harmojnkę i zaczął grać wpadającą w ucho melodię; pozostali mężczyźni zaczęli ją nucić, a po chwili śpiewać na modłę kwartetu egzotycznego. Wes stanął na czele zespołu i rozkładając szeroko ręce, zaśpiewał:

- Och, Louetto, proszę cię, moją bądź! Bywałem tu i tam, przeszedłem wiele dróg, ale wróciłem do domu, by paść ci do nóg! Och, Louetto, proszę, moją bądź!

Louette ścisnęło w gardle, gdy Wes sięgnął niespodziewanie po jej rękę.

- No, i co ty na to? - spytał, a pozostali mężczyźni przygrywali cicho w tle.

- Nie wiedziałam, że jesteś taki muzykalny.

- Mam wiele ukrytych talentów - odparł z filuternym uśmiechem, poprawiając sztuczne wąsy. - Reba występuje jutro wieczorem w Rapid City. Mam bilety. Pójdiesz ze mną?

Louetta przełknęła gulę, która stanęła jej w gardle i zmuszała się do uśmiechu, powiedziała:

- Podoba mi się to, Wes. Bardzo mi się podoba. Pójdę z tobą. Kątem oka zauważyła, że Burke postąpił krok w jej kierunku.

A potem nagle głowa Wesa przesłoniła jej widok. Wes pocałował ją w usta!

Po chwili Wes i bracia Andersonowie zaczęli wycofywać się z pokoju, cały czas nucąc pod nosem. Wreszcie Burke z lekkim trzaśnięciem zamknął za nimi drzwi.

- Ten facet ma tupet - skomentował.

- Uważam, że jest uroczy.

- Uroczy? Założę się, że nawet nie wie, jaką muzykę naprawdę lubisz!

Louetta przymknęła oczy. Gdy znów je otworzyła, Burke pochylał się nad nią.

- Jak możesz wychodzić za Strykera, jeśli tak bardzo pragniesz mnie?

Z trudem utrzymując się na nogach, odparła:

- Czasami to, czego pragniemy, nie jest dla nas dobre.

- Nie mogę uwierzyć, że w ogóle nastawiasz się na małżeństwo ze Strykerem! Przecież byłoby to małżeństwo bez miłości!  
- obruszył się.

Jeszcze kilka minut temu zdenerwowałaby ją ostry ton Burke'a. Ale teraz już nie. Nie po tym, co od niego usłyszała.

- Na nic się nie nastawiam - powiedziała ze wzrokiem utkwionym w jednym punkcie. - Po prostu daję staremu przyjacielowi szansę. - Odwróciła się na piecie, sięgnęła po płaszcz i dodała: - Dziękuję za kolację. Spaghetti było znakomite. - Skierowała się do drzwi.

Burke musiał walczyć z dwoma impulsami. Z jednej strony pragnął pobiec za nią, z drugiej zaś chciał zatrzaskać za nią drzwi, tak mocno jak tylko mógł.

- Louetto! - zawołał głośniejszym głosem, niżby chciał. Widząc, że stała w drzwiach, dodał ciszej, zduszonym głosem: - Przykro mi, że tak to wypadło. Dobrze się bawiłem w twoim towarzystwie dziś wieczór. I trudno mi winić Strykera, że również chciał

mieć szansę zobaczyć się dziś z tobą. Nie podobało mi się jego wejście, ale trudno go winić. Jesteś wspaniałą kobietą, Lily. Wiedziałem to od pierwszej chwili, gdy cię zobaczyłem. Daj mi też szansę! Może mógłbym raz jeszcze przypalić dla ciebie kolację?

Odwróciła się powoli. Wiatr bawił się pasemkami jej brązowych włosów. Nic nie odpowiedziała. Konwulsyjnie przełknęła ślinę, usiłując się uśmiechnąć. Był to jeden z najsmutniejszych uśmiechów, jakie Burke kiedykolwiek widział.

Zamknął drzwi i przyłożył czoło do ich chłodnej powierzchni. Wieczór zaczął się całkiem nieźle. Ogień płonący na kominku, dobre jedzenie, przyjemność przebywania w jej towarzystwie. I w jakże podniecający sposób zlizwała śmietanę z jego ręki...

A potem, po kolacji, poprosiła go o wyznanie prawdy... i wszystko zaczęło się psuć. A później wszedł Stryker...

Burke podszedł do kominka, zaklął pod nosem i zaczął masować napięte mięśnie karku. A więc Lily umówiła się... Za niecałą dobę spotka się z kimś, kogo znała przez całe swoje życie, z kimś, kogo bez oporów będzie mogła całować...

Burke wyteżył całą wolę, by nie wymówić tego głośno. Louetta umówiła się z kimś innym. I nic nie mógł na to poradzić. Możliwe, że ona nigdy nie wybaczy mu, że ją zranił. Na to również nic nie mógł poradzić.

Westchnął, a westchnienie to było potężniejsze od wycia wiatru.

Zapytała go, czy zmieniłby przeszłość. Odpowiedział prawdę. Nie zmieniłby. Nie mógłby. Ale jeśli wszystko poszłoby po jego myśli, Louetta na pewno by mu wybaczyła...

Świadomość, że będzie śmiać się, żartować, a może nawet całować innego mężczyznę, doprowadzała go do szaleństwa. Zastanawiał się jednocześnie, co by Louetta powiedziała, gdyby

poznała prawdę. Czy w ogóle chciałaby go wysłuchać do końca? Czy to by coś zmieniło?

Obawiał się, że prawda pchnęłaby ją prosto w ramiona Strykera. Jak widać, efekt byłby taki sam.

Burke przesunął dłonią po twarzy, wyczuwając pod nią odrastający zarost. Podśluchał wczoraj w poczekalni, jak dwaj mężczyźni zakładali się, kto zdobędzie rękę nieśmiałej, niepozornej Louetty. Wydawało się, że mężczyźni w Jasper Gulch stawiali na walory seksualne Strykera, jego kowbojskie maniere oraz zwycięski, chłopiący uśmiech.

Burke nie był głupi. Doskonale wiedział, co taki mężczyzna jak Stryker może zaofiarować kobiecie. Do diabła, gdyby lubił się zakładać, sam postawiłby pieniądze na tego eks-championa rodeo. Ale dla niego nie była to kwestia hazardu. Dla niego była to sprawa najwyższej osobistej wagi. Kwestia serca. A on w głębi serca nadal wierzył, że Lily go kocha.

Musiał znaleźć sposób, aby przekonać ją, że był jej godny. A potem musiał znaleźć sposób, by dała mu jeszcze jedną szansę.

Dziś wieczorem, nim przyszła, zatelefonował do siostry, która miała przyjechać z Seattle do Jasper Gulch w przyszły weekend. Gdy Jayne przyjedzie, prawda stanie się oczywista dla wszystkich.

To oznaczało, że miał niewiele ponad tydzień na pozyskanie zaufania Louetty i udowodnienie, że jest dla niej stworzony. Niewiele ponad tydzień.

Nie pozostało mu dużo czasu.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Na rogu Custer i Mapie Street Burke skręcił w prawo. Chroniąc się przed zimnym powiewem północnego wiatru, postawił kołnierz czarnej, skórzanej kurtki. W Seattle rzadko wychodził na spacer po zapadnięciu zmroku. Tutaj, w Południowej Dakocie, stało się to jego codziennym zwyczajem. Miał zbyt wiele problemów i nie mógł zasnąć. Myśli krążyły wokół Louetty oraz jej dzisiejszej randki ze Strykerem.

Czy mógł wymyślić coś bardziej zabawnego niż kwartet muzyczny? Co to mogłoby być? Może wycieczka do Rzymu?

Nigdy nie miał ochoty na takie współzawodnictwo. Nie chciał, by Lily poczuła, że jest nagrodą wygraną na loterii. Chciał ją zobaczyć, pragnął ją przytulić i całować. A przede wszystkim nie chciał, by całował ją inny mężczyzna!

Przeszedł Mapie Street, potem podążył Main Street. Nie mógł pozbyć się uczucia, że zegar tyka coraz szybciej. Minał kolejny dzień, a on nie był ani o krok bliższy rozwiązania problemu. Musiał szybko znaleźć sposób, by odzyskać jej zaufanie. Rozmyślał o tym od wielu godzin - od czasu gdy Louetta zgodziła się pojechać do Rapid City z byłym championem rodeo.

Niewiele spał tej nocy. Obudził się w jeszcze gorszym humorze niż zasnął. Uporczywie zastanawiał się, czy Strykerowi uda się ją znów pocałować. Nawet nie podejrzewał, że zdolny jest do takiej zazdrości.

W oddali widział oświetlone okno jej mieszkania. Szedł coraz wolniej. Czy Lily była w domu? Czy była sama...?

Minęła północ, a Lily nadal nie spała. Wes próbował ją zabawić, ale wyczuwała dziś w nim jakiś tajony smutek. Od dawna podejrzewała, że powrócił do Jasper Gulch nie tylko z powodu kilku złamanych żeber. Gdy próbowała o tym porozmawiać, odpowiadał monosylabami. A potem po prostu ją pocałował. I to nie delikatnie i powoli, jak do tego przywykła, ale mocno, z pasją - jakby próbował coś jej udowodnić. Louetta domyśliła się, że ma to związek z jego przeszłością. Cóż, mężczyźni i ich mroczne tajemnice przeszłości...

Powinna pójść do łóżka. Za niecałe osiem godzin ludzie będą czekać przy stolikach, aż poda im śniadanie. Jednak zatopiona w myślach nadal chodziła po swoim małym mieszkaniu.

Nagle, jakby gdzieś w głębi jej podświadomości, pojawił się cichy dźwięk, przypominający tarcie piasku o szkło. Wyrzała przez okno, próbując ustalić źródło hałasu. To nie piasek uderzał o szkło... Czyżby deszcz ze śniegiem albo grad? Pogoda płątała ostatnio figle. Ale gdy wracali z Wesem do Jasper Gulch, na czystym niebie lśniły gwiazdy. Burze nie nadciągają tak szybko, nawet w Południowej Dakocie...

Przyglądała się pustym wzrokiem swemu odbiciu w szybie, gdy znów usłyszała cichy zgrzyt. Zgasła lampę i spojrzała w dół na ulicę.

Przed domem, na popękany chodniku, stał z głową zadartą do góry na czarno ubrany mężczyzna.

Motyle znów zatrzepotały w jej sercu. Gdy otworzyła okno i wychyliła się, doznała dziwnego uczucia deja vu.

- Burke! - zawołała cicho. - Co tutaj robisz?

Odchylił głowę do tyłu, by lepiej ją widzieć; światło ulicznej latarni otulało jego rysy miękkim światłem.

- Nie mogłem zasnąć - powiedział, tak jakby to wszystko wyjaśniało.

- Rozumiem - odparła, choć nie była to prawda.

- W Jasper Gulch nie ma zbyt wiele do roboty.

Ach, więc o to szło! Po prostu był znudzony!

- Zazwyczaj - powiedziała cicho - ludzie nudzą się tutaj podczas pierwszych nocy.

Od razu pożałowała tych słów. Przecież Burke spędził pierwszą noc tutaj... razem z nią. W łóżku. Kochali się.

Chmura zasłoniła księżyc, a wtedy oczy Burke'a zniknęły w cieniu. Jednak nie uszła jej uwagi zmiana, jaka nastąpiła na jego twarzy. Pomyślała, że postąpił szlachetnie, nie komentując jej nieopatrznych słów.

- Jak było na koncercie? - zapytał.

Koncert? Ach, chodziło o koncert, na którym była z Wesem kilka godzin temu.

- Muzyka była dobra, choć bardzo głośna. Nadal dzwoni mi w uszach.

- Czy Stryker poszedł już do domu?

- Godzinę temu. Dlaczego pytasz?

Nie była przygotowana na błysk jego białych zębów, na ten szelmowski uśmiech.

- Przypuszczam, że nie zaprosisz mnie na górę? - Postąpił krok do przodu.

Starła się opanować drzenie, jakie wstrząsało jej ciałem.

- Przypuszczam, że masz rację - powiedziała.

- Czuję się bardzo samotny, stojąc na tym wietrze -jęknął.

- Mogę rozmawiać tylko sam ze sobą.

Louetta, zerkając na rząd samochodów zaparkowanych po drugiej stronie ulicy, powiedziała:

- Słyszałam; że Crazy Horse Saloon to całkiem niezłe miejsce na spędzenie piątkowego wieczora. Dora Lee w po-



dzięce za to, co zrobiłeś dla Boomera, na pewno postawi ci drinka.

Burke zerknął do tyłu, a potem wolno wracając do niej spojrzeniem, poklepał pager przypięty do kieszeni.

- Jestem dziś wieczór pod telefonem - powiedział.

Zdobyła się na wysiłek i spojrzała mu prosto w twarz.

- Jak układa ci się współpraca z doktorem Maseyem? - spytała z pozornym spokojem. - Życie zawodowe z pewnością toczy się tu w wolniejszym tempie niż w Seattle.

- Podoba mi się tutaj, chociaż przyznać muszę, że przyzwyczajenie się do tych zimnych wiatrów przychodzi mi z trudem. Ale wiesz, czego brakuje mi najbardziej?

- Czego? - spytała z zaciekawieniem.

- Fast foodów. Wiele bym dał za ciepłego cheeseburgera albo pizzę pepperoni! Prawdę mówiąc, przymieram głodem na swojej kuchni - poskarżył się, wskazując na chodnik. - Zobacz, już prawie nie rzucam cienia.

Louetta podparła się łokciami o parapet. Wbrew temu, co mówił, rzucał całkiem potężny cień, ramiona miał szerokie, a cała sylwetka była doskonale zarysowana. Ale był głodny...

- Właśnie skończyła mi się pizza - powiedziała, wychylając się bardziej. - Ale jeśli chcesz, mogę przygotować ci coś na prędkę...

- Naprawdę? - ożywił się. - Zrobisz to dla mnie?

Poczuła ucisk w gardle.

- Zrobiłabym to dla każdego - oświadczyła.

Popatrzył na nią przeciągle, a potem spytał:

- Którędy mam wejść?

- Spotkamy się przy tylnym wejściu - powiedziała, zamykając okno.

Nim zdążyła założyć buty i zbiec po schodach, już tam był.

- Jesteś szybki - powiedziała z uśmiechem.

- Staram się robić wszystko wolno i dać ci czas. Ale to nie jest łatwe.

Stali na wyciągnięcie ramienia - ona po jednej, on po drugiej stronie progu. Podniosła na niego oczy. Serce zabiło jej szybciej, twarz stanęła w ogniu, a ciało ogarnęła fala podniecenia. Ten mężczyzna odbierał jej rozum, nie wspominając już o tym, co robił z jej zmysłami.

- Mogę wejść? - spytał z łagodnym uśmiechem.

Poprowadziła go do barowej kuchni, zapalając po drodze światło.

- Co byś zjadł? - spytała, otwierając dużą, staroświecką lodówkę.

- Wszystko jedno, Lily. Naprawdę, zjem cokolwiek.

- Może być kanapka z indykiem? - spytała, starając się opanować drżenie głosu.

Wyjął jej z rąk półmisek.

- Jeśli pokażesz mi, gdzie jest chleb, sam sobie poradzę.

Burke okazał się specjalistą od robienia kanapek. Po chwili z górą kanapek na talerzu poszedł za Louetta przez bujane drzwi do sali jadalnej. Louetta zapaliła światła nad barem i gestem wskazała wysokie stołki, doskonale widoczne z ulicy.

- Usiądź - powiedziała. - Ale bądź przygotowany na to, że jutro w południe wszyscy w Jasper Gulch będą wiedzieli, że tu byłeś.

- Nie martw się - powiedział, trzymając kanapkę przy ustach. - Moi rodzice już się o to postarali, żebyśmy z siostrą przez całe życie narażeni byli na mnóstwo plotek.

- Masz siostrę?

- Ma na imię Jayne. To niezwykła kobieta.

- Bardzo jesteście zżyci? Nie chcę się wtrącać, ale ja byłam jedynaczką i zawsze pragnęłam mieć rodzeństwo. Duża rodzina wprost mnie fascynowała...

Odłożył nie dojedzoną kanapkę na talerz.

- Moja rodzina jest wyjątkowa, co do tego nie ma wątpliwości. Prócz Jayne mam dwie siostry przyrodnie, jednego brata i tak wielu przyszywanych braci, a także i sióstr, że straciłem rachubę.

Teraz, gdy o tym wspomniał, Louetta przypomniała sobie, że dwa i pół roku temu, gdy skończyła mu się benzyna na przedmieściach Jasper Gulch, jechał z wizytą do swego przyrodniego brata.

- Mówiłeś, że twoja siostra ma na imię Jayne - zaciekała się. - A jak się nazywa twój brat?

- Ma na imię Mason. Nieżył z niego aktor.

- Żartujesz?

- Nigdy nie żartuję na temat swojej rodziny. On i Stryker pewnie przypadliby sobie do gustu. Całe lato Mason recytował limeryki. Tylko że jego były okropnie nieprzyzwoite.

- Wygląda na to, że miałeś interesujące dzieciństwo.

- Możliwe, ale w koszmarny sposób.

Nagle Louetta poczuła się tak, jakby rozmawiała ze starym, dawno nie widzianym przyjacielem. Opierając się łokciami o blat, powiedziała:

- Opowiedz mi o tym więcej.

Odsunął od siebie talerz, a potem wodził palcem po jego gładkim brzegu.

- Gdy sięgam myślą wstecz, zadziwia mnie, że moim rodzicom udało się wytrwać w związku małżeńskim na tyle długo, żeby mieć dwoje dzieci. Już dawno temu poprzysiągłem sobie, że nie pójdę w ich ślady. Ojciec świetnie potrafił inwestować pieniądze, ale w życiu rodzinnym był nie do zniesienia. Wreszcie po czwartym rozwodzie przestał się żenić. Jayne także przysięga, że poprzestanie na jednym małżeństwie. Z kolei o mojej matce krąży w rodzinie dowcip, że chce w tej materii pobić światowy rekord.

- Jakim więc cudem wyrosłeś na normalnego człowieka?

- Uważasz, że jestem normalny?

Poczuła znów falę ciepła w żołądku, w piersiach, w gardle.

- Owszem, sprawiasz na mnie wrażenie normalnego faceta.

Chociaż, oczywiście, możesz powiedzieć, że na ludziach z małego miasteczka łatwo zrobić dobre wrażenie.

Ręka Burke'a zastygła na brzegu talerza.

- Być może na innych - powiedział - ale nie na tobie. Myślę, że ciębie trudno przekonać.

- Naprawdę? - spytała z niedowierzaniem.

Przyglądał jej się przez chwilę, nim powiedział:

- Pewna jesteś, że nie zaprosisz mnie na górę?

- Całkiem pewna.

- A wiesz, co mam na myśli?

W cichej sali rozległ się jej śmiech - perlisty, niepohamowany, zaraźliwy.

Burke miał ochotę zapytać ją o randkę ze Strykerem, ale jednocześnie nie chciał przypominać jej o innych mężczyznach. A zwłaszcza nie chciał zerwać tej cienkiej nici porozumienia, która się pomiędzy nimi nawiązała.

- No więc może powiesz mi, co masz na myśli? - spytała.

Uważnie wpatrywała się w jego oczy. Jeśli się nie mylił, zaczynała mu ufać. Nie powinien podważyć tego zaufania.

- Sądziłem, że mogłoby być miło... - odparł, powoli wstając. - Powiniennem już wracać.

- Zgoda.

- A ty powinnaś powiedzieć mi, żebym został.

Przechyliła głowę i obdarzyła go miękkim kobiecym uśmiechem.

- Nigdy w życiu, proszę pana - uśmiechnęła się zalotnie.

Mimo wszystko podniesiony na duchu, zabrał swoją nie dojedzoną kanapkę i skierował się do tylnych drzwi.

- Och, byłbym zapomniiał - powiedział, stawiając kołnierz

płaszcz. - Dzięki za cudowny nocny posiłek Ale mogłaś dać mi cudowną noc...

- Nie mów tak - zaprotestowała.

Nie spuszczać z niej oczu, wolno się uśmiechnąć.

- Miło słyszeć, że nawiedzają cię takie zdrożne myśli, ale ja myślałam o czymś innym.

- O czym?

- Mogłaś wprawić mnie we wspaniały humor, mówiąc, że Stryker nie pocałował cię na dobranoc.

- On mnie pocałował... Ale wyszedł zły...

- To mi się podoba! Dlaczego wyszedł zły?

- Nie wiem. Nie chciał mi powiedzieć. Gdy go spytałam, zmienił temat. Ale dlaczego ciągle się uśmiechasz? - spytała z irytacją.

- Ja się uśmiecham? - Wycofał się pod drzwi. Czy Lily mogła dosłyszeć walenie jego serca? Nie podobało mu się, że Stryker pocałował ją na pożegnanie, ale to, że wychodził stąd w złym humorze, było dobrym znakiem. - Skoro się uśmiecham, to musi mieć coś wspólnego z tobą - wyjaśnił. - Dobranoc, Lily.

Louetta, obejmując się ramionami, długo stała w otwartych drzwiach i czekała, aż Burke zniknie z pola widzenia. Potem zgasiła światła i cicho weszła po schodach na górę.

Gdy wyjmowała z szafy gruby, biały szlafrok, wierzchem dłoni musnęła wiszący obok drugi - z granatowej satyny - który kupiła pod wpływem impulsu trzy lata temu, ale nie włożyła na siebie od czasu rozstania z Burke'em.

Zdjęła teraz lśniący szlafrok z wieszaka i napawając się szelestem materiału, założyła go na gołe ciało.

Potem, gdy leżała pod ciepłą kołdrą w swej małej sypialni, jeszcze długo w noc rozmyślała. Mężczyźni... Wspominała nieco melancholijny uśmiech Strykera i leniwy, tajemniczy uśmiech Burke'a.

Mężczyźni... Balansując pomiędzy snem a jawą, naciągnęła kołdrę pod szyję i zasypiając, uśmiechnęła się do siebie.

- Miło widzieć, że się uśmiechasz, Louetto.

- Która dziewczyna nie byłaby szczęśliwa - wtrąciła Mertyl Gentry - gdyby młody zwycięzca rodeo, taki jak Wes, wysyłał jej codziennie bukiet świeżych kwiatów.

Louetta wzdrygnęła się. Spoglądając na członkinie Stowarzyszenia Kobiet, które zebrały się w barze na swym cotygodniowym spotkaniu, zauważyła, że Melody Carson nieśmiało puszcza do niej oko. Louetta chrząknęła i zagryzła wargę, mając lekkie poczucie winy. Śmiała się głośno, gdy przeczytała bilecik dołączony do bukietu, który niedawno doręczyła jej Josie, ale ten uśmiech, który skomentowała Edith Ferguson, nie wiązał się z limerykiem napisanym przez Wesa. Uśmiechała się, ponieważ w kuchni znalazła małą paczuszkę, a w niej kasetę ze swoimi ulubionymi piosenkami. Och, Wes był naprawdę uroczy, ale ten uśmiech przeznaczony był dla Burke'a.

W którymś momencie, pomiędzy kolacją w czwartek a wczorajszą rozmową w słabo oświetlonej barowej sali, coś się definitywnie zmieniło. A może to ona się zmieniła?

- Drogie panie - wtrąciła Isabell Pruitt, stukając w szklanekę. - Myślę, że czas skończyć z tym tematem. Droga Louetto, lepiej bądź tak miła i opowiedz nam, jak idą przygotowania do świątecznej szopki.

Po omówieniu tego tematu spotkanie dobiegło końca. Panie zapięły płaszcze, wzięły torebki i wyszły. Louetta ustawiła puste filiżanki po kawie na tacy i zniosła je do kuchni, gdzie zabrała się za zmywanie.

Po chwili drzwi otworzyły się i wszedł Burke. Przez moment stał nieruchomo i przyglądał się jej uważnie. Płaszcz miał rozpięty, a jego ciemna cera kontrastowała z białą koszulą.

Wpadł tu dzisiaj już po raz drugi i ponownie jej się przyglądał, a serce Louetty po raz drugi biło jak oszalałe.

- Przyszedłeś udzielić mi następnej lekcji jazdy? - spytała. Potrząsając głową, postąpił kilka kroków do przodu.

- Sądząc po twoich porannych dokonaniach, nie wiem, czy potrzebujesz następnych lekcji. Dobrze się bawisz?

- Zmywanie naczyń do rozrywek nie należy. - Zdmuchnęła kosmyk włosów opadający jej na oczy. - A czasami robię to nawet w moich snach.

- A wiesz, o czym ja śnię? - Burke zastanawiał się, czy Lily zdawała sobie sprawę, że uśmiech pojawił się na jej twarzy, i czy miała pojęcie, jak wiele ten uśmiech dla niego znaczył. - Zamierzasz podpisać petycję? - nagle zmienił temat.

- Jaką petycję? - spytała rozkojarzona.

- Tę, którą twoja przyjaciółka o szpiczastym podbródku podsunęła mi kilka minut temu. Powiedziała, że mieszkańcy miasteczka muszą dopilnować, by ten okropny zielony kolor na fasadzie salonu piękności został zamieniony na bardziej odpowiedni.

- Och, tak? - A więc o tym rozmawiały dziś członkinie ze Stowarzyszenia Kobiet, podczas gdy ona śniła na jawie. - I podpisałaś ją?

Burke zaprzeczył ruchem głowy.

- Powiedziałem, że jestem tu zbyt krótko, bym już opowiadał się po czyjejsz stronie. Zjesz dziś wieczór ze mną kolację? Obiecuję, że nie będę sam gotować.

I znów ją zaskoczył. Ale opanowała się w porę.

- Przykro mi, Burke - powiedziała. - Mam inne plany na dzisiejszy wieczór.

- Ze Strykerem?

Zadzwonił dzwonek nad frontowymi drzwiami. Zerkając w tamtą stronę, Louetta powiedziała:

- Przesłuchujemy dzieci do ról w dorocznym jasełkach.

- Cześć"; Louetto- odezwał się w sąsiednim pokoju dziewczęcy głos. - Będziemy ubierać choinkę w restauracji. Melody zwykle zajmowała się lampkami, ale...

Drzwi otworzyły się gwałtownie i Haley Carson zamilkła, widząc że Louetta nie jest sama.

- Och, och! - wykrztusiła.

Burke uniósł brwi. Dziewczyna wyglądała na dwanaście lat. Miała długie, brązowe włosy, a twarz z zadartym, piegopatym noskiem nosiła zadatki wielkiej urody,

- Mam przyjemność z córką Carsonów? - spytał Burke, wyciągając do niej rękę. - Jestem doktor Kincaid.

Zmierzyła go od stóp do głów, nim podała mu rękę.

- Wiem, kim pan jest - oświadczyła. - Ale skąd pan wie-dział, jak ja się nazywam?

- Poznałem twojego ojca, wuja i dziadków - odparł.

- W Carsonach jest coś, co ich wyróżnia. - A zwracając się do Louetty, powiedział: - Wpadnę później, po przesłuchaniach.

Po chwili już go nie było. Tylko drzwi kołysały się za nim w przód i w tył.

- Czy coś się stało, Haley? - zagadnęła Louetta, uważając, że zmiana tematu będzie wskazana. - Nie dość miałaś na dziś zmywania?

Haley wymownie przewróciła oczami i wykrzywiła usta.

- Amy Stevenson powiedziała całej klasie, że mam dobrze umyte ręce. Myślała, że będzie bardzo dowcipna, aż znalazła na ławce wielkiego włochatego pajaka... - Haley nagle urwała, przykładając dłonie do ust, jakby powiedziała więcej niż zamierzała.

- Haley!

- Prawie nie miałam z tym nic wspólnego - wtrąciła Haley z ożywieniem. - Naprawdę!

- W takim razie „prawie” będziesz miała kłopoty - oświadczyła Louetta, kręcąc głową.



Haley Carson miała wiele kłopotów, gdy trzy lata temu przyjechała tu ze swoim ojcem. Choć prawdopodobnie na zawsze pozostanie uparta, przestała wyglądać jak oberwaniec i stopniowo nabierała dziewczęcego wdzięku. Ale -jak zauważył Burke - nosiła nazwisko Carson, a to wiele znaczyło.

- Masz do mnie jakąś sprawę? - indagowała Louetta.

- Och, tak. Melody z chłopcami siedzi w samochodzie. Miałam ci przekazać, że będzie wdzięczna, jeśli Slade zagra dzieciątko Jezus w szopce.

- Powiedz jej, że zrobi mi tym ogromną przysługę.

- Powiem - zawołała Haley spod drzwi.

-Haley?

Dziewczyna zatrzymała się w progu i obejrzała przez ramię.

- Dlaczego powiedziałaś „och, och!” na widok doktora Kincaida?

Haley zrobiła tajemniczą minę.

- Ponieważ Melody patrzyła na mojego tatę dokładnie tak samo jak ty na doktora i, nim wszyscy zdążyli się zorientować, miałam dwóch małych braciszków! Do zobaczenia, Louetto!

Drzwi do kuchni trzasnęły, a po chwili zadźwięczał dzwonek nad drzwiami frontowymi, sygnalizujący wyjście Haley z baru.

Louetta zamknęła oczy. Szczera uwaga dziewczynki sprawiała, że poczuła ucisk w gardle. Dopiero po dłuższej chwili oparowała się i wróciła do przerwane go zmywania.

Zmywanie... Przypomniała sobie reakcję Burke'a, gdy powiedziała mu, że śnią jej się brudne naczynia. Ale przecież miewała też inne sny. Sny, o których po obudzeniu próbowała zapomnieć. Sny, które napawały ją smutkiem.

Nadal rozmyślała o swoich snach, gdy kwadrans później drzwi otworzyły się z trzaskiem i stanął w nich Wes. Nim zdą-

żyła wytrzeć ręce i odwiesić moką ścierkę, Wes zdjął kapelusz i nerwowo obracał go w rękach.

- Witaj, Lou. Mogę wejść?

- Zawsze jesteś tu mile widziany, Wes.

Po ogorzałej twarzy Wesa przemknął uśmiech.

- Od naszej wczorajszej rozmowy nie mam takiej pewności. Ale mam nadzieję, że nie będziesz żywić do mnie urazy...

- Co cię gnębi, Wes?

Nadal obracał w dłoniach kapelusz.

- Wczoraj wieczorem wyszedłem w pośpiechu. Chciałbym to wyjaśnić. Byłem wściekły, ale nie na ciebie...

- Już mnie przeprosiłeś w liście, który Josie dostarczyła wraz z bukietkiem stokrotek. Przyjęłam twoje przeprosiny. A na kogo się złościłeś? - spytała cicho.

- Przede wszystkim na siebie.

- Jak możesz być zły na takiego miłego faceta? - zażartowała.

Spojrzał jej w oczy.

- Dobry strzał, Louetto! Spodziewałem się to usłyszeć. Dlaczego więc nie możemy stąd wyjść i stawić się przed najbliższym sędzią pokoju?

- Nie mówisz tego poważnie? - Louetta zmarszczyła brwi.

- Myślałem o tym przez cały dzień. Będzie z ciebie cholernie dobra żona, Jesteś solidna i rozsądna.

- Zaczynam się rumienić - zaprotestowała.

Patrzył na nią zagadkowo. . .

- Przez całe życie myślałem, że udało mi się zerwać z podobieństwem do swego ojca. Oczywiście, prócz tego, że zajmuję się tym zrujnowanym ranczem... Wygląda jednak na to, że odziedziczyłem po nim talent do mówienia nieodpowiednich rzeczy. Ale ty, Louetto, naprawdę jesteś solidna, łagodna, ładna i potrafisz świetnie gotować. Znamy się od dziecka. Do licha,

możliwe, że jesteś jedyną osobą na świecie, która lubi mnie nie tylko z powodu moich trofeów! I jeszcze jedno.

Z łokciami opartymi na blacie Louetta słuchała wynurzeń Wesa. Cieszył się powodzeniem u kobiet w Jasper Gulch. Potrafił być niezwykle uroczy i uwodzicielski. To nieprawda, że tylko ona go lubiła... Ale teraz, gdy właściwie jej się oświadczał, zauważyła znamienne rzecz - nie wspomniał wcale o miłości.

- I co o tym sądzisz? - zapytał, gdy zapadła głęboka cisza.

- Myślę, że powiedziałaś dużo prawdy. - Próbowała się uśmiechnąć. - O sobie. Ale co z miłością, Wes?

- Miłość bywa przeceniana - powiedział szybko. Zbyt szybko. Trzymając w obu dłoniach kapelusz, spojrzął jej w oczy i dodał: - Miłość może przyjść później. A tymczasem nie będziemy sami. Dlaczego chcesz trzymać mnie w niepewności?

Po raz pierwszy pod kowbojską fanfaronadą dostrzegła w nim prawdziwego człowieka. Serce jej zmiękło. Był bardziej wrażliwy, niż sądziła większość ludzi.

- Wes... naprawdę nie wiem, co mam ci powiedzieć... - zaczęła niepewnie.

- Zanim coś powiesz - wtrącił z poważną miną - chcę, byś wiedziała, że nie złamię ci serca. I zrobię wszystko, co w mojej mocy, by spełnić twoje marzenia.

Louetta przymknęła oczy, żałując w duchu, że zwierzyła mu się kiedyś ze swoich marzeń.

- Zastanowię się - powiedziała. - Wkrótce dam ci odpowiedź.

Uśmiechnął się, pocałował ją w policzek i skierował się w stronę drzwi.

- Przypuszczam, że mężczyzna nie ma prawa prosić o więcej - rzekł na odchodnym.

Patrząc za nim, Louetta zastanawiała się, o co ma prawo prosić kobieta.

W zadumie wracała do swego mieszkania. Burke wpadł, gdy wszyscy goście już wyszli. Gdy raczył ją swymi historiami z dzieciństwa, doszła do wniosku, że dwa i pół roku temu poznali się w złym momencie swego życia. Połączyła ich namiętność, ale tak naprawdę wcale się nie znali.

Natomiast Wes przez całe życie był jej przyjacielem. Chciał się z nią ożenić, choć obydwaj wiedzieli, że jej nie kochał. Ale czy to miało znaczenie?

Kobiety były tak głupie, że chciały poznać mężczyznę do głębi serca. Chciały mieć w swych partnerach kochanków i pokrewne dusze. Czy to było możliwe? Czy można było zgłębić serce mężczyzny? Obydwaj - Burke i Wes - byli porządnymi ludźmi. A jednak obydwaj mieli przed nią swoje sekrety.

Zmieszana bardziej niż kiedykolwiek, sięgnęła po szlafrok. Miękki materiał przelał jej się przez palce i szlafrok upadł na podłogę. Gdy schyliła się, by go podnieść, wzrok jej przykuł obrazek wystający z pudła stojącego na dnie szafy. Przykłękała i wyjęła płótno z szafy.

Patrząc na obraz młodej kobiety, spacerującej po łące pełnej kolorowych kwiatów, straciła poczucie czasu.

Od dziecka kochała sztukę. Był to jej ulubiony przedmiot w szkole. Ale chwyciła za pędzel dopiero wtedy, gdy wyjechała z chorą na raka matką do Oregonu. Z początku malowanie pomagało jej zapełnić puste wieczory w nieznanym mieście, gdzie matka poddawała się kuracji. Odkryła jednak w sobie talent i wkrótce całe godziny spędzała z zamiłowaniem na dobieraniu kolorów i poprawianiu techniki.

Nigdy nie zapomni dnia, w którym pokazała ten obrazek swojej matce. Opal Graham na łożu śmieci promieniała z dumy.

- Chcę, byś zawsze dążyła do tego, co kochasz - wyszeptowała. - Możesz zrobić wszystko, pamiętaj.

Louetta długo po pogrzebie nosiła te słowa w sercu. Ale

potem nastąpiła szara rzeczywistość. W Jasper Gulch potrzebowano malarzy, ale wyłącznie do malowania domów, stodół i płotów. To przywołało jej na myśl kontrowersyjną fasadę domu, w którym mieścił się salon kosmetyczny.

Możesz zrobić wszystko, powiedziała jej matka.

Louetta utkwiała wzrok w pudełku z pędzlami oraz w słoiczku z białą farbą, kupioną jeszcze w Oregonie. Wiedzioną impulsem wyjęła z dna szafy pudełko z farbami, włożyła ciepły płaszcz i pospiesznie zeszła tylnymi schodami.

W uspionej Main Street jedynym dźwiękiem był odgłos jej cichych kroków. Niezależnie od pory roku i dnia centrum Jasper Gulch wyglądało ponuro. Alę dziś wieczorem kładące się cienie nadawały mu nowych wymiarów; fasady sklepów przybierały odcienie szarości i czerni. Louetta nie bała się ciemności. To nie strach powodował, że jej serce biło tak mocno, a oddech był tak głęboki. To podniecenie i przeczucie, że za chwilę odkryje coś bardzo dla siebie ważnego, dodawało jej dzisiaj siły i odwagi.

Kryjąc się w cieniu rzucanym przez sierp księżycy, przystanąła przed małym sklepem - kiedyś zakładem fryzjerskim, gdzie po raz pierwszy obcinano jej włosy, gdy miała cztery lata. Wszystkie domy przy Main Street były bardzo stare. W budynku, w którym obecnie znajdowała się biblioteka, mieścił się kiedyś urząd probierczy w Black Hills. Salon piękności, wciśnięty pomiędzy pocztę a sklep z ubraniami, niegdyś był jednoizbową szkołą, zanim wybudowano dla niej siedzibę przy Pike Street. Dom miał wysoki, spadzisty dach, a przyglądając mu się bliżej, można jeszcze było zauważyć miejsce, w którym dawniej wisiał szkolny dzwonek. Szyby do połowy zasłaniały jaskrawopomarańczowe zasłonki; na górze widniał napis: „Bonnie's Clip&Curl”.

Louetta postawiła torbę na chodniku i uklękła. Gdy sięgała po puszkę białej farby, w jej umyśle zaczęła kształtować się wizja dzieła, które chciała stworzyć.

Zakasała rękawy płaszcza, zerkając na migoczący w górze księżyc, a potem na zalany jego światłem róg ulicy. Dzisiejszej nocy temperatura powietrza wahała się w okolicy zera. Louetta miała nadzieję, że było wystarczająco ciepło, by farba wyschła do rana.

Zaczęła malować. Wkrótce wejście okoliła biała kratka pergoli, szpiczasto zakończony płótek ozdobił jeden róg, a wszędzie dookoła wił się ciemnozielony bluszcz, zdający się sięgać ku samemu niebu.

Louetta pracowała szybko, czasami malując obiema rękami. Gdy skończyła, jasnozielony kolor stanowił tło dla pierzastych białych chmur, ciemnych liści i kratki, która wyglądała tak prawdziwie; że chciało się jej dotknąć.

Ożywiona i zadowolona z siebie, cofnęła się o krok, by podziwiać swe dzieło. A potem, upewniwszy się, że nikt jej nie widzi, zebrała swoje przybory i szybko zniknęła w ciemności.

Z bijącym sercem skręciła w boczną uliczkę prowadzącą do jej mieszkania.

Gdy już leżała w łóżku i patrzyła błędnym wzrokiem w sufit, przyszło jej do głowy, że tylko ona sama może zapanować nad swoim życiem. Sama musi podjąć decyzje dotyczące Burke'a i Wesa. Nikt za nią tego nie zrobi. Choć nie wiedziała, co jej przyniesie jutro, po raz pierwszy od dawna nie mogła się doczekać, by poznać przyszłość.

- Do widzenia, Johnny! - zawołała Louetta.
- Do widzenia, panno Graham.

Gdy ostatnie dziecko skończyło próbę, Louetta powiedziała:

- Doskonale się spisałaś, Haley.

Haley wzruszyła ramionami, ale Louetta dostrzegła błysk podniecenia w oczach dziewczynki. Haley zerknęła przez ramię, by sprawdzić, czy nikt jej nie słyszy, w końcu odparła;

- Byłam niezła, ale myślę, że stara Isabell nie będzie zachwycona, że gram rolę Marii z Nazaretu.

Louetta powstrzymała się od komentarza, choć powinna powiedzieć małej, że to nieładnie w ten sposób mówić o kimś starszym. Zresztą dziewczynka miała rację. Gdy tylko ucichnie raban wokół zmiany wystroju salonu kosmetycznego, Isabell na pewno narobi szumu wokół roli Marii.

- Nie martw się panną Pruitt, Haley. Jesteś stworzona do tej roli. Nie zdziwiłabym się, gdyby Maria była do ciebie naprawdę podobna.

- Myślisz, że podrzuciłaby komuś pająka na ławkę?

- Wątpię, by w tamtych czasach były ławki, myślę jednak, że Maria miała bardzo silną osobowość. Która dziewczyna by się nie przelękła, widząc w środku nocy anioła? Ale przecież powiedziałaś, że nie miałaś wiele wspólnego z tą aferą z pająkiem?

- No wiesz... Właściwie to nie ja wpuściłam go na ławkę Amy, ale gdy pani Thornton przyparła mnie do muru i zapytała, czyj to był pomysł, nie potrafiłam skłamać. Naprawdę nie wiem, jak się domyśliła.

Louetta pokiwała głową ze zrozumieniem. Pearl Thornton kierowała się zapewne szóstym zmysłem, by wykryć sprawcę. Koledzy z klasy Louetty twierdzili, że miała oczy z tyłu głowy. Ale nawet pani Thornton, posiadaczka drugiej pary oczu i tajemniczego szóstego zmysłu, nie domyślała się, kto był autorem nocnej metamorfozy „Bonnie's Clip&Curl”. Spekulacje na ten temat krążyły po mieście przez cały dzień, a ludzie nadciągali z całej okolicy, by zobaczyć dzieło, które członkinie Stowarzyszenia Kobiet uznały za pracę nocnego artysty.

Dla zakładu Bonnie Trumble rozgłos stanowił znakomitą reklamę. Nawet wielebny Jones wykorzystał ten temat w swoim kazaniu.

Louettę bawiło obserwowanie tej sytuacji z boku. Ciekawa

była, czy w końcu ktoś odkryje prawdę. I z każdą mijającą godziną była coraz bliższa podjęcia decyzji, co zrobić z resztą swojego życia.

Zatrąbił klakson. Haley pobiegała do samochodu Melody. Louetta, stojąca w otwartych drzwiach, pomachała przyjaciółce ręką i wyszła na chodnik przed barem.

Pogoda dziś nie dopisała; było zimno i hulał lodowaty wiatr. A jednak Louecie było ciepło. Gdy niedawno rozmawiała z Wesem przez telefon, powiedział, że głos jej brzmi jakoś inaczej. Nie potrafiła tego wyjaśnić, ale naprawdę czuła się odmłodzona i pełna świeżych sił.

Wes nie był jedynym mężczyzną, o którym myślała, podążając Main Street. Czuła się trochę niezręcznie ze świadomością, że pragnie jej dwóch mężczyzn.

Musiała dokonać wyboru. Postanowiła podjąć decyzję w porze kolacji.

Obok niej przejechał samochód dostawczy, któremu z pewnością przydałby się nowy tłumik, a potem tuż za nią zaparkował bezszmerowo jakiś inny wóz.

„ Za każdym razem, gdy ktoś wchodził lub wychodził z Crazy Horse Saloon, na ulicy słychać było melodie z jedynej w mieście szafy grającej. Lily znała je wszystkie na pamięć i nie odrywała wzroku od fresku.

Nagle głęboki, dźwięczny głos tuż za nią powiedział:

- Cześć, Lily.



## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Burke wziął głęboki oddech, w momencie gdy Louetta zerknęła przez ramię. Był pełen obaw, ale i nadziei. Odetchnął z ulgą, gdy powitała go uśmiechem.

- Jestem zdziwiona - powiedziała. - Wieść gminna niesie, że jesteś teraz na wizycie domowej.

Choć Burke nie przyzwyczał się jeszcze do dokładności poczty pantoflowej w Jasper Gulch, skinął głową i podszedł bliżej, zostawiając na świeżym śniegu ślady swoich butów. Właśnie wyszedł z pensjonatu, w którym mieszkało kilka kobiet, między innymi Crystal Galloway, która prowadziła gabinet doktora. Osiemdziesięciosześcioletnia Mertyl Gentry, jedna z pensjonariuszek, poczuła się dzisiaj źle.

- Czy Mertyl wyzdrowieje? - zaniepokoiła się Louetta.

- Wszystko będzie w porządku. Myślę, że nawet mnie polubiła, czego nie da się powiedzieć o jej kocie.

- Daisy nie lubi nikogo prócz Mertyl. A Mertyl też rzadko kogo lubi, a już zwłaszcza mężczyzn. Skąd pewność, że cię polubiła?

- Przyciskając kota do piersi, niechętnie przyznała, że mam sprawne ręce.

Louetta przyglądała mu się z twarzą ukrytą w cieniu:

- Dziwię się, że nie próbowała ci zapłacić torbą jabłek lub pieczoną kurą.

- Nie przyjmuję żadnej zapłaty - powiedział, zbliżając się

o krok. - A zresztą w nagrodę podsłuchałem tam ciekawą rozmowę.

- Jaka rozmowę?

- Otóż krążą plotki, że wkrótce dokonasz wyboru. Czy to prawda?

W oczach Lily odmalowało się zaskoczenie. Dlaczego nieodparcie wierzył, że wybierze właśnie jego?

Znów zaczął padać śnieg. Duże, grube płatki wolno szybowały w dół, osiadały na włosach Lily i na jej rzęsach. Burke podszedł jeszcze bliżej, włożył ręce do kieszeni i uważnie przyglądał się malowidłu przy wejściu do salonu piękności.

- To o tym wszyscy dziś w mieście rozprawiają? - zapytał.

- Doprawdy?

- Geraldine Mackelroy przyszła do mnie wprost i spytała, czy mam talenty artystyczne.

- Ludzie w Jasper Gulch nie lubią tajemnic - roześmiała się Louetta. - Nie pamiętam, kiedy po raz ostatni widziałam Bonnie tak szczęśliwą. Oczywiście, Isabell uważa, że teraz wszyscy powinni ryglować drzwi. Obydwie z Odelią Johnson doszły do wniosku, że skoro nocny artysta wymalował coś takiego, nie zauważony przez nikogo, równie dobrze może w nocy podrzynać ludziom gardła.

- Kobieta, która to namalowała, z pewnością miała zręczne ręce...

- Kobieta?

Jej szare oczy w świetle księżyca były wielkie i rozświetlone, czubek nosa miała zaczerwieniony z zimna, ale to jej głos - cichy, zbliżony do szeptu - sprawił, że serce zabiło mu żywszym rytmem.

- O której skończyłaś malowanie? - zapytał.

- Skąd wiesz, że to byłam ja? - Ze zdziwienia otworzyła usta. Położył dłoń na jej ramieniu.

- A któż inny tak bezinteresownie zrobiłby coś tak pięknego? Nie usiłowała zaprzeczyć. I nie zarumieniła się. Po prostu się uśmiechnęła.

- Nadszedł czas, byś odwołała swoje postanowienia - szepnął, pochylając się nad nią i prawie dotykając wargami jej ust.

- Muszę pilnie z tobą o tym porozmawiać - usiłowała protestować.

- Taka rozmowa wymaga bardziej intymnego miejsca. Chodźmy! Odwiozę cię do domu.

Dziś wieczorem wydała mu się pewna siebie i odważna. I zadziwiająco piękna. Gzy to możliwe, by tylko on to widział?

Przez moment zapatrzyła się gdzieś w przestrzeń, a potem znów zerknęła na niego.

- Raczej nie - powiedziała.

Burke zmrużył oczy.

- Co chcesz mi przez to powiedzieć?

- Podjęłam decyzję...

- I...?

- Czekam teraz na Wesa.

Burke poczuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę.

- Masz randkę ze Strykerem?

Rozległy się dzwonki u sań, a jakiś kowboj głośno zawołał:

- Yeeha!

Burke odwrócił głowę, akurat w momencie gdy Stryker zatrzymał przed zakrętem sanie zaprzężone w konie.

- Wes! - zawołała Louetta.

Stryker zeskoczył na chodnik i uśmiechnął się szeroko.

- Przyjechałem, gdy tylko zadzwoniłaś.

- Ona do ciebie zadzwoniła? - Burke był poruszony.

- Mogę tylko powiedzieć, że Louetta ma dobry gust. -

A zwracając się do Louetty spytał: - Ile czasu minęło, odkąd jechałaś takim staroświeckim pojazdem?

- Ostatni raz jechałam saniami, gdy byłam małą dziewczynką.

- Najwyższy czas, żebyś się trochę rozerwała. I zatelefonowałaś do najbardziej odpowiedniego mężczyzny! - Mrugnął okiem do Burke'a i powiedział: - Do zobaczenia, doktoru.

Louetta zerknęła przez ramię. Przez chwilę Burke'owi wydawało się, że w jej spojrzeniu była czułość, ale nie miał pewności, czy to czułe spojrzenie nie było przeznaczone dla Strykera. Chwilę później sanki odjechały po świeżym śniegu, a śmiech Strykera długo jeszcze niósł się w oddali.

Burke zacisnął dłonie w pięści. Był pewien, że to on był powodem wyraźnie widocznego podniecenia w oczach Louetty i jej zaróżowionych policzków. Czy mógł się aż tak pomylić? Na samą tę myśl poczuł ucisk w żołądku.

Z baru dobiegały dźwięki gitary. Za rogiem, gdzie nie dochodziło już światło latarni, było ciemno że oko wykol. W domu panowała śmiertelna cisza, a noc, która rozpościerała się przed nim, wydawała się nie mieć końca.

Wsunął ręce do kieszeni i wolnym krokiem poszedł do swego pustego, ciemnego mieszkania przy Custer Street,

Podniósł kołnierz płaszcza i przystanął, słysząc muzykę za drewnianymi drzwiami saloonu. Gdy godzinę temu wrócił do domu, usiłował zająć się lekturą zaległości i przeglądaniem papierów. Ale przez cały czas słyszał te cholerne dzwoneczki u san i wyobrażał sobie Lily w ramionach innego mężczyzny, tak więc w końcu włożył płaszcz i wyszedł z domu bez określonego celu. Może i dobrze, że zakończył swą przechadzkę tutaj. Dobrze czy nie, i tak nie miał dokąd pójść. Wszedł do saloonu i ignorując utkwione w nim ciekawskie spojrzenia, skierował się prosto do baru, za którym Dora Lee Brown wycierała kieliszki.

- Czułam, że się tu dziś pokażesz, doktorze - powiedziała.

Przyglądał się rzędowi brązowych butelek ustawionych na półce po drugiej stronie baru.

- Poproszę o szklanę wody sodowej z cytryną.

Niebieskie oczy Dory Lee były cierpliwe i wyrozumiałe. Umiała ważyć słowa, znała zalety milczenia. Wolno posunęła pękatą szklanę po gładkiej powierzchni blatu i gestem poprosiła Burke'a, by usiadł.

Popatrzył na puste barowe stołki.

- Jeśli nie masz nic przeciwko temu, siadę przy stoliku - powiedział.

- Dobry pomysł - pochwaliła go Dora Lee. - Gdy chce się zapamiętać o kłopotach, nie ma nic lepszego niż rozmowa z ludźmi.

Burke skrzywił się w odpowiedzi. Oczywiście ludzie wiedzieli, że dziś wieczorem Louetta jest ze Strykerem. Wolno odwrócił się, czując na sobie spojrzenia wszystkich obecnych.

- Przysiadz się do nas - zachęcił jakiś mężczyzna w szarym kowbojskim kapeluszu.

- Nie ma sensu pić w samotności - dorzucił inny, popychając koszyk z preclami w stronę Burke'a. - Nazywam się Wade Wilkie. A to mój brat Forest. Wygląda na to, że wszyscy samotni mężczyźni z okolicy wcześniej czy później wylądają w Crazy Horse. To lepsze niż gapienie się w telewizor.

- To prawda - przyznał Forest. - Cóż nam pozostało, skoro nie ma w mieście dostatecznej liczby kobiet.

- Może powinniśmy zamieścić w gazecie kolejne ogłoszenie reklamujące nasze miasteczko?

- Dlaczego jesteście tacy pewni, że przegrałem? - odezwał się Burke, obracając szklanę w palcach.

Szafa grająca umilkła i nagle zapanowała cisza. Mężczyzna z grubymi, ciemnymi wąsami powiedział:

- Słyszeliśmy, że Louetta jest bliska podjęcia decyzji i zo-

baczyliśmy Wesa w saniach. Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, to wiedz, że ja postawiłem na ciebie.

- Mówiłem ci, że ona wybierze jednego z naszych - wypalił trzeci mężczyzna.

Rozmowa toczyła się swobodnie, łąło się piwo, uwagi o braku kobiet mieszały się z rokowaniami na temat cen wołowiny, przewidywaniami pogody oraz plotkami o nowym nieznanym wirusie atakującym bydło w okolicy. Burke nie miał pojęcia o prowadzeniu rancza i od dawna wiedział, że nie da się przewidzieć kaprysów pogody. Mógł myśleć tylko o jednym. O Lily.

- Słyszycie? - zawołał ktoś z sali.

- Tó chyba dzwoneczki u sań.

Burke miał wrażenie, że jakieś dzwoneczki już od kilku godzin brzęczały mu w głowie. Te jednak były prawdziwe. Nagle okazało się, że wraz z tuzinem mężczyzn stoi przy oknie i przygląda się, jak saneczki mkną ulicą.

- Nic nie widzę - poskarżył się ktoś stojący z tyłu.

.- Wes schodzi z sanek - objaśnił stojący w pierwszym rzędzie mężczyzna. - Teraz bierze Louettę za rękę. Pomaga jej wysiąść z sań. A teraz... Tak, on ją całuje!

Zapadła długa cisza. Mężczyźni kolejno jeden po drugim zaczęli rozchodzić się do swoich stolików. Tylko Burke pozostał w miejscu, zaciskając zęby tak mocno, że bolała go szczęka.

Drzwi otworzyły się, do wnętrza wpadł strumień zimnego powietrza, a potem pojawił się Stryker.

- Nieźle, Wes! - Jakiś mężczyzna poklepał go po ramieniu.

Stryker rozejrzał się wokół i wolno pokręcił głową.

- Nie wiecie, że to nieładnie podglądać?

Jedni uśmiechnęli się znacząco, drudzy parsknęli rubasznym śmiechem.

- Weź sobie krzesło, Wes! - zawołał ktoś. - I opowiedz nam wszystko.

Burke i Stryker skrzyżowali spojrzenia.

- Wydaje mi się - powiedział kowboj - że najpierw powinienem postawić doktorowi drinka. - Doro Lee, nalej doktorowi jeszcze raz to samo!

- On pije wodę z cytryną - rzucił ktoś z sali.

Wes uniósł brwi. W jego oczach pojawił się figlarny błysk, gdy znów zwrócił się do Burke'a:

- Jest pan na dyżurze, doktorze? - A gdy Burke zaprzeczył ruchem głowy, krzyknął donośnie: - Doro, przynieś mi setkę i piwo! I to samo dla doktora. - A po namyśle dodał: - Najlepiej od razu nalej podwójne piwo.

Co to za hałas?

Louetta przestała nucić. Odkładając pędzel, przechyliła głowę na bok i uważnie słuchała. Dziwne dźwięki, przypominające ryk słonia uwięzionego w pułapce, dobiegały coraz wyraźniej. Mocniej zawiązała pasek długiego, niebieskiego szlafroka i podeszła do drzwi. Uchyliła je lekko, potem otworzyła na oścież.

- Wes! Burke! - wykrzyknęła na widok mężczyzn zataczających się na progu jej mieszkania. - Co wy wyprawiacie?

Dwaj mężczyźni uśmiechali się głupkowato.

- Dobry wieczór, Lou - powiedział Wes, niebezpiecznie kołysząc się na boki.

- Ona ma na imię Lily - poprawił go Burke.

- Jesteście pijani! - skwitowała ze zdziwieniem.

- Może wypięłem jedno piwo za dużo, ale to pan doktor jest kompletnie zalany - wybełkotał Wes. — Ten facet nie umie pić. Wystarczy mu jeden głębszy. Jak ci się podoba „Gwiazdzysty Sztandar” w naszym wykonaniu?

Louetta pokręciła głową, wzięła Burke'a pod ramię i wciągnęła obu mężczyzn do środka. Nie było to łatwe zadanie,

- Powinniście się trochę ogrzać-powiedziała, gdy wreszcie weszli do salonu.

Burke osunął się na kolana.

- Hmm, ładnie pachniesz, Lily - zamruczał. - Stryker ma szczęście. I fajnie śpiewa.

Louetta odwróciła się wolno do Wesa.

- Co ty mu zrobiłeś? - spytała z wyrzutem.

Nawet po pijanemu Wes potrafił uśmiechać się zniewalająco.

- Przysięgam, że to nie ja! Przysięgam! - Usiadł na kanapie, przesunął kapelusz na tył głowy i zamknął oczy. Po chwili głowa mu opadła i zaczął chrapać.

Louetta zdjęła mu kapelusz, podłożyła pod głowę poduszkę i przykryła go kocem. To samo zrobiła z Burke'em. A potem zebrała swoje pędzle, zakręciła słoiki z farbami i po kolei zgasiła wszystkie światła.

Przystanęła w drzwiach, patrząc na pokój obłany jasnosrebrnym światłem księżycy i wsłuchując się w głębokie, równe oddechy dwóch mężczyzn.

- Mężczyźni - westchnęła. - Lekkomyślni, dziecinni i porywczy.

- Dzień dobry, Lou.

Louetta odwróciła się od zlewu tak szybko, że długa spódnica owinęła się wokół jej łydek. Zauważyła zaczerwienione oczy Wesa, jego zarośnięty podbródek oraz wymięte ubranie. Wyjęła z szafki kubek i nalała czarnej kawy.

- Dziwię się, że wstałeś tak wcześnie -powiedziała, podając mu kubek.

Upił łyk parującego płynu, nim się odezwał.

- To było nic w porównaniu z tym, jak popijaliśmy po zakończeniu zawodów - powiedział z dumą. - A poza tym, jak widzisz, dochodzę do siebie szybciej niż inni.



Idąc za wzrokiem Wesa, spojrzała na dywan w salonie, na którym leżał Burke.

- Chyba mu nie powiedziałaś? - spytała cicho.

Wes próbował pokręcić głową, ale skończyło się na skrzywieniu twarzy. Z poczuciem winy wzruszył ramionami.

- Nic mu nie powiedziałem. Ani w tę, ani w tamtą stronę. Ale nic na to nie poradzę, jeśli on ocenił nasz wczorajszy pocałunek, tak jak ocenił. Jak na mieszcucha nie jest taki zły...

- Wesleyu Strykerze, jesteś naprawdę wspaniałym facetem -. powiedziała wzruszona i dodała ciszej: - Jak ona ma na imię, Wes?

- Kto?

- Ta kobieta, którą miałeś na myśli kilka dni temu - wyjaśniła z łagodnym uśmiechem. - Kobieta, która jest odpowiedzialna za twoją decyzję powrotu do domu.

- Do diabła, Lou! - obruszył się. - Jesteś nie tylko ładna, ale i całkiem inteligentna. - Wypił kolejny łyk kawy, sięgnął po płaszcz i wcisnął na głowę kapelusz. - Była pewna kobieta, ale minęło już tyle czasu... Byłbym ci wdzięczny, gdybyś nikomu o niej nie wspominała.

- Możesz powiedzieć chłopakom, że to ty ze mną zerwałeś.

Odwrócił się, ale nie widziała dobrze jego oczu, ponieważ zasłaniał je cień kapelusza.

- Kiedy cię zrzuci ogier, trzeba otrzepać siedzenie, podnieść kapelusz i przyjąć to jak mężczyzna - powiedział. - Jeśli w ogóle im coś powiem, to na pewno prawdę!

Louetta pocałowała go czule w policzek. Puścił do niej oko w odpowiedzi.

- Jesteś wspaniałą, stuprocentową kobietą, Lou.

Zamknęła za Wesem drzwi, spoglądając znów na mężczyznę rozciągniętego na dywanie w jej salonie. Nadał dźwięczały jej w uszach słowa, które Wes powiedział na pożegnanie.

To zadziwiające, ale naprawdę zaczynała się czuć jak stuprocentowa kobieta.

Louetta nie musiała odwracać się na dźwięk dzwonka, by zgadnąć, kto wszedł do restauracji. Isabell- zaczęła mówić, zanim jeszcze dzwonek ucichł.

- Co ty, na Boga, wyprawiasz?

Wieszając bombkę na choince dekorującej frontowe okno restauracji, Louetta odparła:

- Witaj, Isabell. Napijesz się kawy?

- Nie przyszedłam tu na kawę. Całe miasto plotkuje, że zabrałaś dwóch... naprawdę dwóch pijanych mężczyzn przez całą noc! Wielkie nieba, Louetto!

Louetta zerknęła przez ramię na wysoką, chudą kobietę, która przez całe życie była najlepszą przyjaciółką jej matki. Męska twarz Isabell Pruitt była głęboko pomarszczona. Wszyscy, którzy ją znali, wiedzieli, że zmarszczki te nie powstały ze śmiechu. Przez piętnaście lat nosiła ten sań beżowy płaszcz z tym samym sztucznym kwiatem w klapie. Choć była pocziwą kobietą, jej przyrodzona zręczliwość i małostkowość działały ludziom na nerwy. W tej chwili mocno zaciskała ręce na torebce i wyglądała jak nastroszona kwoka.

- W porządku, Isabell - uspokoiła ją Louetta. - Nic się nie stało, naprawdę.

- W porządku, w porządku! - zrywała się Isabell. - Czy ty masz pojęcie, jak na reputację kobiety wpływa fakt, że przeno-cowała u siebie dwóch mężczyzn?

- Nic się nie stało- - odparła Louetta, wieszając ostatnią bombkę na choince.

- Oczywiście, że nic się nie stało. Nie zapominaj jednak, że takie kobiety jak ty mają moralne zobowiązania wobec Społeczności!

Ręka Louetty zastygła na pudełku z dekoracjami. Odwróciła się powoli i powiedziała:

- Stare panny, takie jak my? To właśnie miałaś na myśli?

Isabell gwałtownie westchnęła, a jej szpiczasty podbródek zadrżał.

- Twoja droga, zmarła matka przewróciłaby się w grobie, gdyby to usłyszała. Gdy obcięłaś włosy na krótko, nic nie powiedziałam Opal, ale gdy trzy lata temu zaczęłaś jakoś dziwnie się ubierać, powiedziałam jej, że jestem zaniepokojona... Zmieniłaś się. Nie jestem pewna, czy na lepsze. Masz coś na swoją obronę?

- Zmiana niekoniecznie jest zła, Isabell. Gdybyś chciała, też byś mogła się zmienić.

- Ja? Przenigdy! - zawołała stara panna, rozszerzając oczy z oburzenia.

Louetta wyjęła lśniące, szklane jabłko z pudełka, zastanawiając się, czy jej matka rzeczywiście przewróciłaby się w grobie, znając jej myśli. Naprawdę się zmieniła, to fakt. W dodatku uważała, że zmiany nastąpiły w pożądanym kierunku.

- A więc to prawda? - naciskała Isabell. - Naprawdę zerwałaś z Wesleyem?

Gdy Louetta przytaknęła, Isabell ze smutkiem pokiwała głową.

- Nie kocham go - wyjaśniła. -I on także mnie nie kocha.

Isabell nic na to nie mogła powiedzieć. Krótko wyraziła swą dezaprobatę i szybko wyszła.

Louetta dziwnie podniecona i szczęśliwa ubierała choinkę. W zeszłym roku po raz pierwszy spędzała święta bez matki. Nie miała wówczas ochoty świętować. Ale w tym roku będzie inaczej. Zamiast ubrać choinkę w swoim mieszkaniu, gdzie nikt by jej nie widział, postanowiła udekorować choinkę w restauracji, gdzie mogła cieszyć wszystkich. Starannie dobrała świecidełka; niektóre pamiętały jeszcze czasy jej dzieciństwa, inne były cał-

kiem nowe. Efekt końcowy był bardzo ciekawy. Mozaika starego i nowego - zupełnie jak w jej życiu.

Tak szybko, jak tylko będzie mogła wybrać się do Pierre, zamierzała zdać egzamin na prawo jazdy. Miała trzydzieści pięć lat i w końcu stawała się niezależna. Choć Burke zranił ją mocno, gdy dwa i pół roku temu nie wrócił, w głębi serca wiedziała, że powinna mu podziękować. To dzięki niemu wreszcie wydoślała, nabrała pewności siebie. Burke wydobył z niej to, co najlepsze. Nieśmiała, zwyczajna Louetta Graham w jego towarzystwie stawała się całkiem inna - kobieca, inteligentna, dowcipna, ożywiona, a nawet dynamiczna. Czasami, gdy na nią patrzył, wierzyła, że może zmienić nie tylko siebie, ale cały świat.

Nie wiedziała, oczywiście, jaka przyszłość czeka ją z Burke'em, ale zdawała sobie sprawę, że nie powinna zwracać głowy Wesowi. Wesley był szlachetnym człowiekiem i zasługiwał na uczciwe i poważne potraktowanie. Toteż zawczasu powinien dowiedzieć się, że nie ma u niej szans. To wszystko, co mogła zrobić.

A teraz czekała, aż Burke się obudzi, by wytłumaczyć mu, że wczoraj mylnie ocenił sytuację.

Przymknęła oczy, zdumiona, że skacowany mężczyzna może spać tak długo.

Była prawie jedenasta, gdy usłyszała kroki Burke'a na tylnych schodach. Przemknęło jej przez myśl, że zwykle zastawał ją z rękami po łokcie zanurzonymi w zlewie.

Wiele razy powtarzała sobie to, co chciała mu powiedzieć, ale wystarczyło jedno spojrzenie na jego wymizerowaną twarz, by starannie przygotowana przemowa wywietrzała jej z głowy.

Burke pojawił się w kuchni z ponurym wyrazem twarzy i mruknął coś na powitanie. Był wyraźnie w złym nastroju.

Pchnął kołyszące się drzwi do sali jadalnej i pewnie by się wcale nie zatrzymał, gdyby nie zawołała go cichym głosem.

Wolno odwrócił głowę.

- Jak ci się podoba choinka? - spytała, wycierając ręce w fartuch.

Orzechowe, okolone długimi rzęsami oczy Burke'a spoczęły na stojącej przy oknie choince, ale nie odezwał się ani słowem.

- W porządku - powiedziała. - Nie musisz odpowiadać. Właściwie nie chciałam rozmawiać o choince...

Burke poczuł się tak, jak wczorajszego wieczoru, gdy wypił pierwszy łyk whisky - w jego gardle wybuchł pożar. Whisky była mocna i gorzka, nie zabiła jednak nieprzyjemnego smaku w ustach ani dziwnego ucisku w żołądku, teraz czuł to samo na widok Lily stojącej przed choinką i sprawiającej wrażenie naprawdę szczęśliwej. Do diabła! Musiał jak najprędzej stąd wyjść. Sytuacja była nie do zniesienia.

- Mam pacjentów - powiedział. - I kaca, którego muszę wyleczyć.

- Wes wspominał, że nie masz mocnej głowy.

Znowu Stryker!

- Następnym razem, gdy twojemu chłopakowi będzie potrzebna pomoc psychiczna, zrobię mu zastrzyk uspokajający.

- Pewna jestem, że Wes nie chciał zrobić ci krzywdy.

Uśmiechnęła się tak słodko, że znów poczuł ucisk w żołądku.

- Powinienem iść - powtórzył.

Postanowiła zlekceważyć te słowa.

- Wiesz, ten pocałunek, którego byłeś świadkiem wczorajszego wieczoru...

Zrobił nastroszoną minę. Czy musiała mu o tym przypominać? Nieważne, czy winić za to Strykera, czy alkohol, nerwy miał całkiem zrujnowane. Naprawdę musiał się stąd dostać.

Ale Lily zagroziła mu drogę. Niespodziewanie wyrosła tuż przed nim, jej oczy były czułe i łagodne, a usta prowokujące.

- To był pożegnalny pocałunek przyjaciół - powiedziała.

Setki myśli zawirowało mu w głowie. Ale to jedno słowo odbijało się stałym echem.

- Przyjaciół?

- Tak. Wes nie jest moim chłopakiem. Jest dobrym przyjacielem. Powiedziałam mu to wczoraj wieczorem.

Słowa te zahuczały Burke'owi w głowie.

- Lepiej powiedz, jeśli wyciągam pochopne wnioski - powiedział chrapliwym ze wzruszenia głosem. - Zrozumiałem, że odrzuciłaś Strykera. A w takim razie możesz wybrać mnie...

Postąpiła krok w jego kierunku, a potem wolno skinęła głową.

Burke'owi zabrakło tchu. Myśli wirowały mu w głowie w szalonej fśnitwie.

A Lily - Lily w ogóle nie wydawała się zmieszana! Uniosła się na palcach i wolno podała mu swe usta. Wargi ich spotkały się w pocałunku pełnym pożądania, pełnym dawania i brania, pełnym namiętności i podniecenia.

Naprawdę miał migrenę, ale teraz było to bez znaczenia. Pożądanie zwyciężyło ból. A on pragnął całować Lily, pieścić, usłyszeć jej cichy jęk zadowolenia. Wyobrażał sobie dotyk jej smukłego ciała przytulonego do jego Ciała, miękkość jej piersi na swojej klatce piersiowej. Jej talia doskonale pasowała do jego rąk, kształt bioder zachęcał do ich obejmowania.

Bez namysłu rozwiązał jej fartuch i odrzucił daleko za siebie. Dzieliło ich teraz mniej przeszkód, ale nadal nie byli wystarczająco blisko. Rozpiął guzik sweterka z angory - zrobił to z zadziwiającą łatwością - a potem zaczął gładzić jej aksamitną skórę.

Louetta odchyliła głowę do tyłu, poddając się słodkim pieścizotom. Wydawało jej się, że śni. Ale nie - ciało Burke'a było

twarde i realne. Gdy gładziła mięśnie jego pleców, usłyszała swoje imię wymówione zduszonym szeptem.

Przez zaciągnięte zasłony przenikało z ulicy światło. Czuła delikatny zapach jego skóry, z lubością Wzięła głęboki oddech, a potem, gdy jego ręka odnalazła jej piersi - jęknęła cicho. Przymknęła oczy, pulsowanie krwi w uszach mieszało się z cichymi pomrukami Burke'a.

- Och, Burke, tyle czasu minęło...

Hamulce, które sobie nałożył, puszczały z każdą sekundą. Powoli tracił panowanie nad sobą i ledwie docierały do niego ciche dźwięki dochodzące gdzieś z zewnątrz.

Podmuch zimnego powietrza uderzył go w plecy zniecka, a potem usłyszał głos, który rozpoznałby na końcu świata.

- Alex, zaczekaj!

Burke oderwał się od Lily i odwrócił akurat w momencie, gdy dwuletni chłopiec objął go za kolana swymi małymi, krągłymi rączkami.

Burke z radosnym uśmiechem podniósł malca z do góry.

- Alex, co tutaj robisz?

- Przyjechałem do ciebie, tatusiu.

- Tatusiu?

Burke odwrócił się na dźwięk głosu Lily. Twarz jej pobladła, rysy stężały, oczy rozszerzyły się z niedowierzania. Górne guziki swetra miała rozpięte, usta mokre od pocałunków.

Burke przymknął oczy. Prawda zwykle wychodziła na jaw w najmniej odpowiednich momentach.

- Lily - powiedział cicho. - Chciałbym, abyś poznała Alexa Nathaniela Kincaida. Mojego syna.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Jego syn! Ten ciemnowłosy chłopczyk wtulony w kolana Burke'a był jego synem!

Z pozoru Louetta zachowywała spokój. Ale ścisnęła ją w żołądku, a krew w żyłach jakby zwolniła tempo.

Kątem oka dostrzegła jakiś ruch, ale nie mogła oderwać wzroku od dziecka, które Burke tulił czułe w ramionach. Włosy miał nieco jaśniejsze od włosów ojca, ale uśmiechy mieli bardzo podobne.

Och, Boże, Burke miał syna!

Chyba za chwilę zemdleje. Ale ciągle stała wyprostowana, z głową dumnie uniesioną do góry.

- Prócz koloru oczu - odezwała się bardzo cicho - jest bardzo do ciebie podobny.

Kobieta o krótkich, czarnych włosach i uderzająco niebieskich oczach stanęła przed Burke'em.

- Ludzie zawsze mówili, że ma oczy swojej matki - powiedziała.

Dłoń zimna jak lód objęła serce Louetty. To nie mogło się dziać! A jednak naprawdę się działo.

- Jego matki? Przecież ty masz niebieskie oczy...

Kobieta dramatycznie uniosła brwi.

- Och, ja nie jestem jego matką! - zaprzeczyła z ożywieniem. - Nazywam się Jayne Kineaid. Jestem siostrą Burke'a. A ty pewnie jesteś Liły? - Rzucając Burke'owi spojrzenie pełne tłumionej złości, dodała: - Myślałam, że ją uprzedzisz.



- Miałem taki zamiar, ale... Och, Jayne! - Własny głos dudnił mu w uszach. - Spodziewałem się ciebie dopiero za tydzień.

Jayne popatrzyła na Alexa tak, jakby był reaktorem jądrowym, który za chwilę wybuchnie.

- Oddałabym życie dla tego dziecka, ale nie potrafię się nim zajmować! - oświadczyła kategorycznie. - Wiem, że zgodziłam się nim opiekować, aż urządzisz się w tej zapadłej dziurze. I było dobrze, póki moja gosposia ze mną była. Ale teraz, gdy zgodnie z umową rozwodową wyjechała, nie jestem w stanie sobie poradzić. Przysięgam, na Boga, że on wyczuwa moje lęki. Och, nie! Tydzień z Alexem sam na sam i wyląduję w domu wariatów!

- Na dół! Tato, na dół!

Alex zaczął się wiercić, a po kilku sekundach płakać. Ale uwagę Burke'a nadal przykuwała Lily. Twarz miała bladą, w oczach wyraz głębokiego bólu.

- Gdzie jest jego matka? - spytała ledwie słyszalnym głosem. -

- Denise umarła - powiedział, stawiając Alexa na podłodze. - Sześć miesięcy temu.

Gdy Burke obserwował Lily, jak trawi tę wiadomość, Alex podbiegł do choinki i natychmiast zerwał z niej szklane jabłko. Stłukł bombkę i jak błyskawica rzucił się w stronę stołu nakrytego do lunchu. Burke dopadł go w ostatniej chwili i znów wziął na rękę.

- Niecee! - zaprotestował chłopczyk.

- On jest zmęczony i zdenerwowany - powiedział Burke, odwracając się do Lily. - Muszę go szybko zawieźć do domu. Proszę cię, chodź z nami. Wszystko ci wyjaśnię.

Wstrzymał oddech w oczekiwaniu na jej odpowiedź.

Ale gdy ze wzrokiem utkwionym w dalekiej przestrzeni, lekko skinęła głową, wiedział, że jest jeszcze o wiele za wcześnie, by mógł odetchnąć z ulgą.

Dom, w którym zamieszkał Burke, znajdował się zaledwie trzy przecznice dalej, ale z powodu płaczu Alexa i nieustającej paplaniny Jayne, Louetcie droga niemiłosiernie się dłużyła. W dodatku zdawała sobie sprawę, że prawie z każdego okna przy głównej ulicy przypatrywały im się wścibskie oczy sąsiadów. Starsi ludzie wyszli nawet przed domy, by lepiej ich widzieć. Wiedziała, że przez kilka najbliższych minut linie telefoniczne w miasteczku będą rozgrzane do czerwoności.

- Poczekaj chwilę - odezwała się nagle Jayne. - Czy nie przejeżdżaliśmy już obok tego kościoła? Burke, dlaczego krążysz w kółko?

- Ponieważ Alex usypia - odparł spokojnie.

- Och, dlaczego nie mógł zrobić tego dwie godziny temu? Naprawdę, nie wiem, jak to ci się udaje!

Burke był przyzwyczajony do paplaniny swojej siostry, a Louetta dziękowała Bogu, że nie musi wysilać się, by podtrzymać konwersację.

Gdy wreszcie zatrzymali się na Custer Street, a potem gęsiego - Jayne, Louetta, a na końcu Burke z Alexem na rękach - wchodzili do domu, zapewne nadal byli bacznie obserwowani.

- Położę małego spać - zwrócił się Burke do Louetty. - Nie uciekniesz, prawda?

Louetta, blejsza niż kiedykolwiek, starała się opanować ucisk w gardle i drżenie rąk. Lekko skinęła głową, a Burke odwrócił się i skierował w stronę schodów.

Jayne uśmiechnęła się do niej pokrępijając. Niestety, Louetta nie mogła odwzajemnić uśmiechu.

- Nie miałam pojęcia, że na górze przygotował łóżeczko - powiedziała cicho.

- Wygląda na to, że o wielu rzeczach ci nie powiedział.

- Jayne wzruszyła ramionami. - Ale radził sobie z tą sytuacją o wiele lepiej, niż ja bym to zrobiła.

- Masz na myśli śmierć matki Alexa?

- To również. Miałam na myśli wcześniejsze wydarzenia... Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie, powinnaś wiedzieć, że on zerwał z Denise, zanim poznał ciebie. I właśnie wtedy gdy wrócił do Seattle, Denise poinformowała go, że jest w ciąży. Tylko dlatego się z nią ożenił.

Louette krew odpłynęła z twarzy.

- Burke był żonaty...?

Jayne bezradnie rozłożyła ramiona.

- Sam chyba lepiej ci to wszystko wyjaśni - powiedziała w końcu.

Louetta cały czas miała zdumioną minę. Pomyślała, że jakoś do tej pory Burke w ogóle nie kwapił się do wyjaśniania czegośkolwiek.

Był żonaty. Ta nieproszona myśl tłukła jej się po głowie, przynosząc ból. A potem pojawiła się Kolejna - był żonaty i miał z tamtą kobietą dziecko. To piękne, zdrowe, urocze dziecko. Podczas gdy ona płakała - zagubiona i samotna - inna kobieta nosiła w swym łonie dziecko Burke'a! Te myśli płały jej się po głowie w szalonej gonitwie.

Zagryzając wargę, by się nie rozpłakać, powiedziała:

- Muszę już iść. - Potykając się, poszła do drzwi.

- Lily, zaczekaj!

- Nazywam się Louetta - powiedziała z ręką na klamce.

- W porządku, Louetta. Chcę tylko, byś wiedziała, że Burke jest porządnym człowiekiem. Nigdy nie uciekał od odpowiedzialności. I postąpił właściwie ze względu na Alexa. W dzisiejszych czasach niewielu mężczyzn zachowałoby się tak szlachetnie. Uwierz mi, mój były mąż jest tego żywym dowodem.

Louetta nacisnęła klamkę i wyszła.

- Louetto?

Imię jej odbiło się głuchym echem w podmuchach zimnego powietrza.

Burke, słysząc, że na dole zamykają się drzwi, niemal sfrunął ze schodów. Zobaczywszy pusty salon, zaklął pod nosem.

- Coś, u diabła, jej powiedziała? - warknął na Jayne, która właśnie wchodziła do pokoju z rzeczami Alexa.

- Na litość boską, Burke! Wystraszyłeś mnie na śmierć. Powiedziałam jej tylko, żeby dała ci pięć minut na wyjaśnienia. Jest przed domem. Spaceruje po chodniku.

Burke sięgnął po płaszcz. A więc Lily nie odeszła. Nadal miał szansę.

Choć Louetta nie usłyszała ani otwieranych, ani zamykanych drzwi, intuicyjnie wyczuła, że Burke do niej dołączył. Odwróciła się wolno i zobaczyła mężczyznę stojącego na małym ganku; jego czarny płaszcz rozwiewał wiatr, ciemnoszare spodnie zgrabnie leżały na wąskich biodrach, a sweter z golfem opinał szeroki tors. A przecież spał w tym ubraniu! Nie miał prawa wyglądać tak dobrze, zwłaszcza gdy ona czuła się tak fatalnie!

- Mały śpi? - spytała.

Skinął głową, schodząc po schodkach. Stała w odległości kilku metrów. Kosmyki włosów smagane wiatrem opadały jej na twarz. Płaszcz i sukienka owijały się wokół jej ciała. Właściwie nigdy nie widział jej w takim stanie; plecy miała wyprostowane jakby kij połknęła, usta zaciśnięte w wąską linię, oczy pozbawione blasku. Jeszcze kwadrans temu w jego ramionach była miękka, gibka, podatna. Teraz wyglądała na kruchą, jakby miała złamać się na wietrze. Przyjazd Alexa wywołał szok. Do diabła, sam czuł się tak, jakby dostał obuchem w głowę, gdy Denise go o tym poinformowała! Ale Louetta patrzyła teraz na niego jak na ciężkiego winowajcę. Nie wiedział, jak się bronić. Wiedział jednak, że musi spróbować.

- Lily...

- Wolałabym, byś od tej pory nazywał mnie Louetta. Przełknął ślinę. Te słowa ugodziły go w samo serce.

- Pamiętasz, jak spytałaś mnie, czy zmieniłbym przeszłość, gdybym mógł to zrobić?

- Trudno, bym o tej rozmowie zapomniała.

A więc wówczas ją zranił. Śmiertelnie zranił.

- Odpowiedziałem tak z powodu Alexa. Gdy Denise poinformowała mnie, że jest w ciąży, zaniemówiłem. Zerwałem z nią kilka tygodni przed podróżą do Oklahoma City. I nie zamierzałem zmieniać zdania. Ale ona nosiła moje dziecko, Lily... Louetto!

- A więc ożeniłeś się z nią - skostatowała z rezygnacją.

- Ożeniłem się z nią - przyznał cicho. - Ale nie dlatego, że ją kochałem. Wyłącznie z powodu Alexa. Pragnąłem, by moje dziecko miało lepsze dzieciństwo ode mnie. Nie chciałem, by czekała go nowa macocha lub nowy ojczym co rok. Chciałem dać mu rodzinę - trwałą, solidną rodzinę. Denise nie była złą kobietą. I była cudowną matką dla Alexa. Wiem, że przeżywasz szok i jest mi bardzo przykro. Przepraszam za wszystko, co przeze mnie wycierpiałaś. Nie wiem, co mógłbym jeszcze powiedzieć, co zrobić. Ale znam cię. Wiem, że jesteś silna i masz dobre serce, więc zrozumiesz.

Louetta czuła się ogromnie nieszczęśliwa. Straciła całą pewność siebie, cały zapał, który wstąpił w nią tak niedawno. Do dzisiaj czuła, że może zmienić świat. A teraz? Teraz wiatr był coraz zimniejszy, przesywał ją do szpiku kości, a świat zdawał się wrogi, obcy i zbyt wielki, by mogła go ogarnąć.

- Lily! - Uniósł dłoń, gdy zaczęła protestować. - Dla mnie na zawsze pozostaniesz Lily. Do diabła, naprawdę mi przykro, że wtedy nie mogłem wrócić. Nie rozumiesz? Nie mogłem. Denise była w ciąży!

- Ja też byłam w ciąży.

Burke gwałtownie wciągnął powietrze. W jego oczach pojawił się wyraz niedowierzania,

- Zaszłam wtedy w ciążę... - ciągnęła. - Wydawało mi się to cudowne, zdumiewające... Marzyłam o dniu, w którym ci o tym powiem. Byłam pewna, że pewnego dnia wrócisz. Nawet gdy się spóźniałeś, czekałam. - Urwała; po policzku spłynęła jej jedna, samotna łza. - Ale ty nie wróciłeś. Gdy w trzecim miesiącu poroniłam, chciałam umrzeć.

- O mój Boże, Lily! Nic nie wiedziałem!

- Nie mogłeś wiedzieć. Nikt nie wiedział, prócz lekarza w Pierre, który mnie badał, i Dory Lee, która pewnego dnia zastała mnie we łzach. A mojej matce powiedziałam o tym dopiero przed jej śmiercią.

W wyobraźni Burke zobaczył Lily - samotną, zagubioną, zbolaną. Poczul ciężar w piersi, który rychło przemienił się w fizyczny ból.

Drzwi domu otworzyły się nagle i głos Jayne wdarł się do jego uszu.

- Alex płacze! Chce, żebyś przyszedł. Próbowaliśmy go uspokoić, ale bez skutku.

Louetta odzyskała głos pierwsza.

- To twój syn, Burke - powiedziała przez łzy. - Powinieneś się nim zająć.

I nim kolejna łza spłynęła po jej twarzy, odwróciła się i pospieszyła w stronę swego baru, ponieważ zbliżała się pora lunchu.

Burke stał w miejscu, aż zniknęła z pola widzenia. Nadal czuł szum w uszach i nieznośne walenie w głowie. I pewnie stałby tak jeszcze długo, gdyby Jayne znów go nie zawołała.

Odwrócił się ze zrezygnowaną twarzą.

- Widzę, że poszło jak po grudzie - skomentowała. - Jeśli chcesz, mogę z nią porozmawiać.

- Dzięki, Jayne. Nie sądzę, by można było tu jeszcze coś dodać. - Wolno, jakby miał nogi z ołowiu, wszedł po schodach do domu.

- Tatooo! - krzyczał Alex, gdy Burke pojawił się w drzwiach jego pokoju.

- Wszystko w porządku, kochanie - powiedział zduszonym głosem. - Tatuś jest przy tobie. - Wziął chłopca na ręce i przytulił. - Och, jak tęskniłem za moim chłopcem. Już cię więcej nie zostawię. - Usiadł z synkiem na kolanach i oparł podbródek na jego delikatnych włosach.

Gdy tylko Burke zaczął się bujać w fotelu, Alex odetchnął głęboko i przestał płakać. Nareszcie poczuł się bezpieczny i spokojny.

Burke też wziął głęboki oddech. Już półtora tygodnia nie trzymał Alexą na rękach. Aż do tej pory nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo mu tego brakowało.

Wrócił myślami do Lily. Lily, która żyła ze swoim bólem ponad dwa lata. Przyjazd Alexa musiał być dla niej wielkim szokiem...

Ach, Lily. Co ja ci zrobiłem!

Denise zaszła w ciążę celowo. Tak rozpaczliwie pragnęła go zatrzymać, że przestała zażywać pigułki antykoncepcyjne, nic mu o tym nie mówiąc. Na litość boską, ile razy tłumaczył swoim pacjentom, że nie ma stuprocentowych środków... A sam okazał się takim durniem!

Alex zakwilił we śnie. Po kilku minutach Burke zaniósł go do łóżeczka i delikatnie nakrył ulubionym kocykiem. Stał jeszcze chwilę nad łóżeczkiem, przyglądając się śpiącemu synowi.

Zastanawiał się, jakie byłoby dziecko Lily... czy byłby to

chłopiec, czy dziewczynka. Nurtowała go myśl, że mógł mieć syna bądź córkę zaledwie miesiąc młodszą od Alexa.

Nic dziwnego, że Lily zemdłała, gdy zobaczyła go na zebraniu mieszkańców. Musiała znów doznać bólu, smutku i rozczarowania, tak jakby to wszystko wydarzyło się wczoraj.

Gdy kilka minut później schodził po schodach, poczucie winy ciążyło mu na sercu jak kamień.

Musi być silna. Jeszcze trochę.

Dochodziła pierwsza. Najwięcej klientów pojawiało się między wpół do dwunastej a dwunastą. Niebawem tłum zacznie rzednąć i będzie wreszcie mogła schować się w kuchni i pozwolić sobie na płacz, który tak rozpaczliwie był jej potrzebny.

Wróciła do baru akurat w momencie, gdy bracia Andersonowie, jej pierwsi klienci, podjechali pod drzwi. Po nich niebawem zjawili się następni.

Z uśmiechem przyklejonym do twarzy podawała gościom codzienne specjały oraz domowe ciasteczka, napełniała filiżanki kawą, wydawała resztę tym, którzy już skończyli. Zważywszy okoliczności, trzymała się całkiem nieźle. Burke byłby z niej dumny...

Na myśl o nim poczuła ukłucie w sercu. Starając się za wszelką cenę odwrócić uwagę, zatrzymała się przy stoliku Cletusa McCuły i Bena Jacobsa.

- Wszystko w porządku? - spytała.
- Jedzenie pyszne jak zawsze - odpowiedział Ben.

Cletus tylko skinął głową i strzelając z szelki, przyglądał jej się przenikliwym wzrokiem.

- Mięso jak zwykle smakowite, ale ty wyglądasz mi na zmęczoną, dziewczyno. Czy u ciebie aby wszystko w porządku?



- W porządku, Cletus.

Stary człowiek być może domyślił się, że kłamie, ale na szczęście o tym nie wspomniał.

Ned Anderson, który w drugim końcu sali kończył potrawkę z kurczaka, powiedział:

- Clive Hendricks widział dzisiaj kobietę z dzieckiem, która przyjechała tu dziś rano. Okazało się, że to siostra doktora Kincaida. Z początku wszyscy myśleli, że to jej dziecko ale wgląda na to, że to dzieciak doktora.

Louetta na chwilę przymknęła oczy.

- To prawda, Louetto? - zapytał Cletus.

Louetta sztywno skinęła głową. Poczta pantoflowa w Jasper Gulch jak zwykle działała bez zarzutu.

- A gdzie podziewa się matka chłopca? - spytał ktoś z sali.

- Słyszałem, że żona doktora zmarła kilka miesięcy temu - powiedział Ben Jacobs, sygnalizując jednocześnie ręką, że nie chce kolejnej dolewki kawy. - Odelia Johnson już rozmawiała z siostrą doktora. Podeszła do niej, gdy ta wyjmowała bagaże z samochodu. Wiadomo, że Odelia od każdego potrafi wszystko wyciągnąć. Twierdzi, że siostra doktora jest w trakcie rozvodu...

- A to oznacza, że jest teraz sama.

- Przyjechała tu, aby opiekować się chłopcem?

- Możliwe. To dziwne, ale aż do tej pory nie myślałem, że doktor Kincaid jest taki... rodzinny.

- Nigdy nie wiadomo, Co siedzi w człowieku.

- Trudno się samemu zajmować dzieckiem. Nic dziwnego, że chce, by Louetta za niego wyszła.

- Widzieliście taki śnieg z deszczem? - wtrąciła szybko Louetta, by odciągnąć ich uwagę od tego tematu. - A jak wam się podoba moja choinka? - dodała, gdy nie odpowiedzieli-

Kilka osób obrzuciło choinkę oraz zadymkę za oknem wy-

muszonym spojrzeniem, ale nadal pozostali zainteresowani bardziej tym, o czym mówiono już od kilku minut.

- W jakim wieku jest dziecko?
- Chyba ma dwa latka.
- Tak uważasz, Ben?
- Tak powiedziała Odelia.
- A żona doktora nie żyje zaledwie od kilku miesięcy?

Louetta niemal widziała, jak Norbert dodaje w głowie liczby.

- Louetto, przecież to znaczy, że doktor Kincaid musiał być żonaty, gdy byłaś z matką w Oregonie?

- Patrzcie państwo, co za świntuch!

- Wykorzystać naszą skromną, nieśmiałą Louette, gdy była z dala od domu!

- To nie było tak - przerwała Louetta beznamiętnym tonem.

- Jak to się więc stało, że obiecałaś doktorowi rękę, Louetto? Chyba nie wiedziałaś, że on już jest żonaty, prawda?

- Oczywiście, że nie wiedziała - wtrąciła Marge Cooper, jedna z nielicznych kobiet na sali. - Nie wiedziałaś, prawda, Louetto?

Louetta zastygła w bezruchu. Przeszył ją dreszcz, prawie nie mogła utrzymać się na nogach i marzyła tylko o tym, by opaść na krzesło. A najchętniej po prostu zapadłaby się pod ziemię. Przytrzymując się blatu, wzięła kilka głębokich oddechów. Dopiero po dłuższej chwili poczuła przypływ odwagi.

- Nigdy nie mówiłam - odezwała się, unosząc głowę - że poznałam Burke'a w Oregonie.

- A więc, gdzie się poznaliście?

Kilkunastu mężczyzn i kilka kobiet wpatrywało się w nią, oczekując dalszych wyjaśnień.

- Poznałam go tutaj, w Jasper Gulch.

- Ale jak to możliwe? - zdziwił się Norbert Anderson. - Doktor Kincaid przyjechał tu zaledwie przed tygodniem. Od razu

powiedział, że już przedtem się spotkaliście. Odniosłem zresztą wrażenie, że zdążyłaś mu obiecać, że za niego wyjdiesz.

- Czy chcesz przez to powiedzieć, że on był tu przedtem?  
- spytała piskliwym tonem Marge.

Louetta napotkała wzrok Nicka Coltera, świeżo upieczonego szeryfa, jednego z niewielu ludzi, którzy wiedzieli, że Burke dwa i pół roku temu był w Jasper Gulch. Nick pokręcił porozumiewawczo głową, dając znak, że nic nie powie i ona też nie musi niczego wyjaśniać. Louetta uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem,

- Burke był tu przedtem - powiedziała odważnie, patrząc prosto w oczy Marge Cooper.

- Ale kiedy? - zapytał Forest. - Jak mogliśmy o tym nie wiedzieć?

- Zabrakło mu paliwa w samochodzie i stanął na obrzeżach naszego miasta. A wy wszyscy bawiliście się wtedy na weselu Grovera i Pameli Sue.

-. Kiedy to było? - głośno zastanawiał się Forest. - Dwa czy trzy lata temu?

Louetta cicho odchrząknęła i powiedziała:

- Dwa i pół roku temu, Forest.

- Nadal nie rozumiem, jak to się stało, że zdążyłaś się z nim zaręczyć... Chyba że...

Po raz pierwszy nikt nie odwrócił się na dźwięk dzwonka u drzwi. Louetta przypuszczała, że wszyscy byli zbyt zajęci obserwowaniem, jak jej szyja stopniowo oblewa się rumieńcem. Wiedziała, że za chwilę cała jej twarz będzie czerwona.

- Nigdy by mi to nie przyszło do głowy...

- Czy Wes wie o tobie i doktorze?

- Skąd mógł wiedzieć, skoro nikt z nas nie wiedział.

- Tak myślałam! - dał się nagłe słyszeć ostry, nieznajomy głos. - Mężczyźni z rozdziawionymi gębami i małymi mozga-

mi, których życiową ambicją jest pilnowanie, by ich sąsiedzi moralnie się prowadzili!

Wszystkie głowy odwróciły się jak na komendę, wszyscy utkwili wzrok w kobiecie z rozwianymi włosami, która stała w drzwiach. Jej oczy ciskały błyskawice.

- Poznajcie Jayne Kincaid - odezwała się niepewnie Louetta.

- A więc to pani jest siostrą doktora Kincaida?

- Owszem - przyznała Jayne, mrużąc oczy. - Jestem siostrą Burke'a i waszym najgorszym koszmarem! - Zwracając się do Louetty, dodała: - Miłe miejsce. - A potem, zmieniając jak na zawołanie wyraz twarzy, zwróciła się znów do zgromadzonych, obrzucając ich jadowitym spojrzeniem: - Na miejscu Louetty oskarżyłabym was o zniesławienie i szkalowanie! Jesteście dwulicowymi hipokrytami! Dziwię się, że w ogóle potraficie patrzeć ludziom prosto w oczy. Ilu z was nie miało jeszcze kobiety? I gdzie są ci, którzy nie skorzystaliby z okazji, gdyby taką mieli?

Trzy kobiety raptownie westchnęły. Mężczyźni popatrzyli na siebie, potem wolno opuścili głowy i utkwili wzrok w swych spracowanych dłoniach. Tylko Cletus McCully uśmiechnął się szeroko do Jayne, a ta w odpowiedzi puściła do niego oko.

- Możemy porozmawiać na osobności? - zwróciła się do Louetty.

- Oczywiście. - Louetta ruszyła w stronę kuchni.

- Louetto, zaczekaj! - zawołał Neil Anderson. - Nie chcieliśmy ci zrobić przykrości, naprawdę. Tylko ciekawi jesteśmy, czy zamierzasz poślubić doktora Kincaida?

To proste pytanie było bardzo bolesne.

- Jeśli chcecie znać prawdę, to nie zamierzam już wychodzić za nikogo - powiedziała, patrząc na kowbojów i ranczerów, których znała od dziecka. - Ani za Wesa. Ani za Burke'a. Ani za nikogo innego.

Na chwiejących się nogach pierwsza weszła do kuchni.

- Nic dziwnego, że kobiety stąd uciekają - oświadczyła złośliwie Jayne, zamykając za sobą drzwi. Spojrzała uważnie na Louette, - Wygląda na to, że drink dobrze by ci zrobił. - I dodała: - Chyba nie byłam dla nich zbyt ostra?

Louetta pokręciła głową.

- Nie martw się, dobrze im to zrobiło.

- Czy naprawdę tak myślisz, jak powiedziałaś przed chwilą? - I wyjaśniła, widząc zmieszanie na twarzy Louetty: - Że nie zamierzasz wyjść ani za Wesa, ani za Burke'a, ani za nikogo innego?

Louetta skinęła głową.

- Szkoda. - Jayne ciężko westchnęła. - Cóż, nie mam kwalifikacji do udzielania miłosnych porad. Może w takim razie zajmiemy się dzisiejszymi przysmakami kulinarnymi, co?

- Interesuje cię dzisiejszy pasztet? - odparła Louetta i ze zdumieniem stwierdziła, że się uśmiecha. A gdy pokazała Jayne ogromny półmisek z pasztetem, poczuła się naprawdę dużo lepiej. Nagle fakt, że naraziła swą reputację na szwank i oświadczyła publicznie, że odrzuca wszelkie małżeńskie propozycje - nie wydał jej się tak bardzo smutny. Nadal miała przecież swój bar. Życie toczyło się dalej.

Zostawiając Jayne zamyśloną nad kawałkiem pasztetu, popchnęła wahadłowe drzwi i śmiało weszła do sali jadalnej. Z jednej strony niewątpliwie dobrze się stało. Przynajmniej żaden półgłówek nie będzie teraz chciał się z nią żenić.

Louetta odłożyła słuchawkę na widełki. Był to już trzeci telefon, od czasu gdy zamknęła bar. Tym razem Clive Hendricks zapraszał ją na drinka, choć wszyscy przecież wiedzieli, że w ogóle nie pija alkoholu.

Gdy układała talerze w zmywarce, którą wreszcie zainstalo-  
wała dzisiejszego popołudnia, pomyślała, że sprawy wymykają

jej się spod kontroli. Nie wiedziała, co zrobić z powszechnym zainteresowaniem, którym zaczęto ją obdarzać. Dostała więcej buteleczek perfum i pudełek czekoladek niż przez całe swoje życie. Wydawało się, jakby wszyscy kawalerowie w mieście, a nawet kilku żonatych mężczyzn, ujrzeli ją w całkiem nowym świetle. Dawniej nienawidziła podpierania ścian i dałaby wszystko, by przestać być szarą myszką i wreszcie wyjść z cienia. Ale teraz, będąc obiektem niemal powszechnego zainteresowania, czuła się bardzo niezręcznie.

Od trzech dni, czyli od momentu, gdy wszem i wobec wyjawiała swój sekret, mężczyźni, którzy przedtem zachowywali się wobec niej obojętnie, teraz patrzyli na jej piersi tak, jakby przeznaczone były specjalnie dla nich. Właściwie Burke był jedynym mężczyzną przed sześćdziesiątką, który patrzył na nią oczami smutnymi, pełnymi żalu i poczucia winy.

Od przyjazdu Jayne z Alexem widziała go zaledwie dwa razy i wymienili tylko kilka obojętnych słów. Raz - gdy minęli się na ulicy, i drugi raz, gdy cała trójka Kincaidów przyszła na obiad do jej baru.

Telefon znów zadzwonił, gdy wstawiła ostatnią miskę do zmywarki i nastawiała program na zmywanie. Pewna, że to kolejny mieszkaniec Jasper Gulch, któremu krąży po głowie zakazane myśli, z obawą podniosła słuchawkę.

- Halo? - odezwała się niepewnie.
- Dzięki Bogu, że jesteś!
- Jayne, co się stało?
- Chodzi o Alexa... Burke poszedł na wizytę domową, a doktor Masey wyjechał. Dzieciak jest nieznośny! Obawiam się, że ma gorączkę. Nie chce jeść i pić i przez cały czas płacze.

- Me martw się, Jayne. - Louetta pospiesznie wciągnęła jeden rękaw płaszcza. - Wszystko będzie dobrze. Zaraz przyjdę.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Burke rozpoznał starego sedana stojącego na podjeździe, gdy wyjechał z za rogu i oświetlił go światłami. Wczoraj widział Lily za kierownicą tego pojazdu. Co robiła o tej porze u niego w domu? Dlaczego paliły się wszystkie światła? Co się stało...? A może Lily przyjechała z nim porozmawiać?

Coś musiało się stać.

Gwałtownie zahamował i wysiadł. Z każdym krokiem czuł narastający niepokój. A gdy Jayne raptownie otworzyła drzwi i wybiegła mu na spotkanie, jego niepokój przerodził się w strach.

- Co się stało? Czy Alex...? Jest ranny...?! Gdzie jest Lily?

- Och, nie, to znaczy Alex był chory, ale już wszystko w porządku. Przynajmniej na to wygląda. - I dodała spokojniej: - Nie zamierzałam cię przestraszyć, chciałam cię tylko uprzedzić, byś wszedł na palcach, ponieważ Alex i Louetta śpią.

Burke poczuł, jak odpływa z niego adrenalina. To był długi dzień. Długi tydzień. Czuł to w każdym stawie, w każdym mięśniu. Zrobiło się okropnie zimno, a podmuchy ostrego wiatru, niosące z sobą kawałeczki ostrego jak szpilki śniegu, przenikały skórę do szpiku kości.

Postawił kołnierz płaszcza, wyjął z samochodu lekarską torbę i znów stanął naprzeciwko siostry.

- Dlaczego Louetta tutaj śpi? - spytał. - A dokąd to ty się wybierasz, Jayne? - dodał zdziwiony.

- Idę na spacer. Może wpadnę do Crazy Horse Saloon.

- To chyba niezbyt szczęśliwy pomysł. Południową Dakotę nazywa się stanem kojotów.

- Dzięki za ostrzeżenie.

- Jayne, ja nie żartuję! Jest po północy. O tej porze jedynymi gośćmi w saloonie będą kowboje, którzy dawno nie widzieli kobiety.

- Będę mieć pod ręką pojemnik z pieprzem.

- Jayne, weź przynajmniej mój samochód.

- Chcę się przespacerować. Nie martw się. Skoro poradziłam sobie z tym samolubnym, chciwym facetem, myślącym wyłącznie o swojej karierze prawnika, który twierdził, że mnie kocha, a chwilę potem znalazłam ślady szminki na jego kołnierzyku, myślę, że poradzę sobie z kilkoma napalonymi obywatelami Jasper. A poza tym bardziej boję się dzieci, które niespodziewanie dostają gorączki i płaczą.

- O mój Boże, Alex!

- Miał gorączkę. Zadzwoiłam po Louette i przybyła mu na ratunek. Od razu go uspokoiła, a przy okazji mnie również.

- Jayne jeszcze coś mruknęła niezrozumiałego pod nosem i zaczęła iść wzdłuż podjazdu.

- Co powiedziałaś? - usiłował się dopytać.

- Nic ważnego. Obydwoje przed chwilą zasnęli. Pomyślałam, że może sam zechcesz ją obudzić.

- Jestem ci wdzięczny.

- Jestem twoją siostrą, czyż nie? I podziękuj jej ode mnie!

Było bardzo zimno, ale Jayne ubrała się ciepło i na pewno nie żartowała na temat pojemnika z pieprzem. Burke wcale nie martwił się o jej bezpieczeństwo. Wolałby nie spotkać się z nią sam na sam w ciemnej uliczce, to pewne.

Co innego z Lily... Oddałby wszystko, aby pobyć z nią choćby kilka minut na osobności.

Lampa w oknie wyglądała zachęcająco, ale to Lily ciągnęła



go jak magnes do środka. Cicho wszedł do domu, powiesił płaszcz na wieszaku, a torbę umieścił na półce i rozejrzył się wokół.

Wszędzie widać było jej ślady - płaszcz przewieszony przez krzesło, zapach świeżej kawy dochodzący z kuchni... Na stoliku w salonie stał kubek Alexa, obok leżał termometr, książka dla dzieci oraz sweter Lily.

Uważając, by nie robić hałasu, wspiął się po schodach i skierował prosto do dzieciennego pokoju. Zatrzymał się w drzwiach. Na widok Alexa smacznie śpiącego w ramionach Lily poczuł ucisk w gardle i ciężar w piersiach.

Puszyste zazwyczaj loki Alexa dziś były mokre i przyklejone do czoła, pod oczami miał ciemne obwódki, a na policzkach czerwone wypieki. Ale spał spokojnie, jego drobna klatka piersiowa wznosiła się i opadała regularnie.

Przyćmione światło lampy rzucało bursztynową poświatę na białą piżamkę dziecka i bladą twarz Lily. Długie rzęsy kładły się cieniem na jej policzki. Usta miała lekko rozchylone, ponieważ przez nie oddychała.

Ogarnęło go przemożne pragnienie, by ją pocałować - była to tak silna, tak nieodparta potrzeba jak oddychanie. Kiedy pocałował ją po raz ostatni? Do diabła, prawie jej nie widywał! Po prostu go unikała.

Miała poważne powody, by nie chcieć go widzieć ani całować. Nie miał nic na swoje wytłumaczenie. Prócz tego może, że ją kochał.

Ale cóż warta była jego miłość, skoro ją zranił? Nie zrobił tego celowo, miał dobre intencje, w rezultacie jednak złamał jej serce i położył kres marzeniom.

Może za jakiś czas... Może za jakiś czas mu wybaczy. Tak, o to mu chodziło, na to w skrytości liczył.

Spojrzenie jego spoczęło na główce Alexa. Gdyby postąpił

inaczej - gdyby poszedł za głosem serca - czy to dziecko byłoby teraz spokojne i bezpieczne?

Na to pytanie nie znał odpowiedzi. I nigdy jej nie pozna. Z głębokim westchnieniem wyciągnął ramiona po Alexa. Choć starał się być bardzo ostrożny, zaczepił palcami o sukienkę Lily.

Obudziła się natychmiast. Otworzyła oczy i utkwiała w nim zdumione spojrzenie. Źrenice miała rozszerzone, wokół czarnych tęczówek rysowały się wyraźnie szare obwódki.

Bali się poruszyć, nie śmieli oddychać. Otoczyła ich cisza i trwali w niej nieskończenie długą chwilę, aż w końcu Lily wyszeptała:

- Burke...

- Lily - odpowiedział niemal jednocześnie.

Znów zapadło milczenie.

- Wróciłeś — powiedziała, usiłując złagodzić napięcie.

- Tak, właśnie przyjechałem.

- A gdzie jest Jayne?

- Mówiła, że idzie się zabawić w towarzystwie mężczyzn.

- Oryginalna z niej kobieta, prawda? - powiedziała Louetta z uśmiechem.

Wyprostował się, przytulając Alexa do piersi.

- Owszem. Chciałem tylko położyć Alexa do łóżka. Nie zamierzałem cię budzić.

Louetta powoli wracała do rzeczywistości. Gdy Burke wziął Alexa na ręce, poczuła dziwną pustkę. Zadrżała. Było jej zimno. Takie samo zimno i pustkę czuła wtedy, gdy straciła dziecko, a Burke nie wracał...

Bezwiednie wstała z bujanego fotela i podeszła do łóżeczka Alexa. Wpatrywała się w duże, delikatne ręce Burke'a, kiedy pochylony nad dzieckiem, dotykał jego czoła i przykrywał go miękkim, żółtym kocykiem.

Wzięła głęboki oddech, czując cierpki zapach płynu do golenia. Gdy Burke nagle odwrócił do niej twarz, próbowała usilnie przypomnieć sobie, jak straszliwie cierpiała i okropnie się czuła, gdy wyjechał.

On mnie zranił, pomyślała, gdy brał ją w ramiona. On był dla mnie niedobry...

A jednak cudownie było poczuć jego ramię pod policzkiem.

- Tak mi przykro, Lily.

Odsunęła się lekko i spojrzała mu w oczy. Nadal próbowała być na niego zła, obwiniać go za cały swój smutek i żal. Próbowowała przypomnieć sobie, jak przeżywała jego odejście, jak te pierwsze miesiące bez niego ciągnęły się niczym lata. Ale nie potrafiła wskrzesić w sobie tamtej rozpacz, nie umiała być zła na niego. I nie mogła obwiniać go za to, że postąpił wówczas szlachetnie i właściwie.

- To nie była twoja wina, Burke - powiedziała w końcu, jakby odpowiadając samej sobie.

- Naprawdę tak uważasz?

Wyswobodziła się z jego ramion.

- Tak. Muszę już iść.

Zszedł za nią po schodach i posepnie przyglądał się, jak zabiera płaszcz, buty i torebkę. Odprowadził ją do drzwi, gdzie wyjęła z kieszeni kluczyki do samochodu.

- Słyszałem, że zrobiłaś prawo jazdy.

Radosny uśmiech rozchylił jej usta i odbił się w oczach.

- Raz trochę zbyt gwałtownie skręciłam kierownicą, ale testy zdałam śpiewająco.

- Nigdy nie miałem co do tego wątpliwości.

Chciała mu podziękować za tę wiarę w jej umiejętności, nie wspominając o wierze w nią osobiście, ale Burke był szybszy i z kolei on podziękował jej, że tak szybko przyszła i pomogła Jayne.

- Gorączka spadła około jedenastej - wyjaśniła. - Potem obydwie nieźle się uwijałyśmy, by go zabawić.

Burke skinął głową. Wyglądał na zmęczonego.

- Alex ma dwie natury - powiedział. - Albo śpi jak kamień, albo rozrabia.

Niewiele mogła dodać na ten temat, powiedziała więc jedyną rzecz, która w tej sytuacji wydała się bezpieczna.

- Burke...

- Słucham? - Poczuł, że serce bije mu szybciej. To zadziwiające, jak niewiele było trzeba, by zapaliła się w nim iskierka nadziei.

- Alex mógłby wziąć udział w świątecznym przedstawieniu. Oczywiście, jeśli chcesz...

Cała nadzieja znikła jak mydlana bańka. Choć Lily nie obwiniała go za przeszłość, nadal nie była gotowa otworzyć przed nim ramion i serca po raz drugi.

- Co miałyby tam zagrać?

- Takie maluszki w zasadzie nie mają tam nic do roboty. Wystarczy, żeby wdzięcznie wyglądali. Może być osiołkiem albo owieczką.

- Zastanowię się. Lily, czy chcesz powiedzieć mi coś jeszcze?

Pewien był, że ma mu jeszcze coś do powiedzenia. Czyżby chciała mu powiedzieć, że nigdy nie przestała go kochać...?

Zamiast tego jednak, jakby w obawie przed następstwami nierozważnych słów, dotknęła tylko opuszkami palców jego policzka.

- To wszystko. Dobranoc, Burke.

Czuł, że mu przebacza naprawdę. Ale po raz pierwszy przebaczenie dokuczało mu równie dotkliwie jak poczucie winy.

Zamknął drzwi dopiero wtedy, gdy Lily opuściła podjazd. Jechała wolno, lecz pewnie. Prawo jazdy dawało jej przepustkę

do niezależności. Żałował, że nie może być z tego powodu naprawdę szczęśliwy...

Pierwszą rzeczą, jaką zauważył w salonie, był fioletowy sweter przewieszony przez poręcz bujanego fotela. Gdy go podnosił, wypadł spod spodu podkoszulek Alexa. Bezwiednie podniósł obie rzeczy do twarzy i wdychał z lubością zapach kobiety i dziecka. Stał tak dłuższy czas, z przymkniętymi oczami i jedną dłonią przyciśniętą do tego miejsca na twarzy, gdzie Lily musnęła go palcami.

Zdecydował się na powrót do Jasper Gulch w nadziei, że Lily nadal go kocha. Miał poczucie winy, że tak szybko zaczął o niej myśleć po śmierci Denise. Ale nic na to nie mógł poradzić. Nigdy nie przestał myśleć o Lily i nigdy nie przestał jej kochać... Zrobił, co w ludzkiej mocy, by ukryć prawdę przed Denise. A zresztą, gdyby wiedziała, musiałyby zrozumieć. Była szczęśliwa, nieprawdaż? Przynajmniej próbował uczynić ją szczęśliwą.

Poznał Denise Parker pięć lat temu na imprezie charytatywnej. Była przyjaciółką jednej z pielęgniarek z jego szpitala. Denise wiedziała, jak się ubrać, potrafiła przyciągnąć uwagę mężczyzny. Podobna była do wielu innych kobiet, z którymi się spotykał, nim poznał Lily. To zadziwiające, jakie rzeczy zwracały wówczas jego uwagę. Patrząc w przeszłość, zdał sobie sprawę, że największa różnica pomiędzy Lily a tamtymi kobietami polegała nie na tym, że one nie zwykły się rumienić i prawie od dziecka prowadziły samochody. Nie chodziło również o brak wrażliwości. Łzy w oczach Denise były jak najbardziej prawdziwe, gdy zaskoczyła go wiadomością o ciąży. Ale Denise zdecydowała się na małżeństwo pozbawione miłości. Wes Stryker dał Louetcie możliwość zrobienia tego samego. A jednak Louetta odrzuciła tę propozycję.

Z początku Burke pewien był, że Louetta wybierze jego.

Myślał, że wybaczy mu, gdy zrozumie powody, dla których tak długo nie wracał. Miał nadzieję, że rozpoczną życie od nowa, zaczynając od tamtego momentu, gdy rozstali się dwa i pół roku temu. Ale teraz już wiedział, że choć nie obwiniąta go za wybór, którego wówczas dokonał, nie mogli cofnąć się do punktu, w którym się rozstali. I nie miało to wiele wspólnego z winą czy przebaczeniem. Doznała krzywdy, której nie dało się już naprawić, straty, której nie można już było zrekompensować. Choć Lily była o wiele silniejsza niż wydawało się z pozoru, to jednak nadal nie przeboleła utraty swego dziecka. Och, cóż mógłby zrobić, aby jej pomóc? Dałby wszystko, byle tylko znów zobaczył w jej oczach uśmiech.

Odłożył sweter Lily i podkoszulek Alexa na krzesło i poszedł do łazienki, gdzie długo stał pod gorącym prysznicem. Potem wślizgnął się pod ciepłą kołdrę i wpatrywał się w ciemny sufit, słuchając jęków wiatru, stukotu gałęzi o ścianę domu i pomruków, które od czasu do czasu wydawał przez sen Alex. Słyszał jeszcze, jak około drugiej w nocy wróciła Jayne i przechodząc obok jego sypialni, mruzczała coś pod nosem.

Wreszcie znużony i przygnębiony usnął.

- Chodź, Louetto, już prawie koniec. Uśmiechaj się.

Louetta zerknęła na Melody i wykrzywiła twarz. Przedstawienie świąteczne dobiegało końca, ale ona jeszcze nie mogła się odprężyć, choć wszystkie dzieci, mimo drobnych potknięć, dobrze wywiązały się ze swoich ról. Nawet Alex Kincaid zadziwił wszystkich, ponieważ siedział bardzo spokojnie i tylko od czasu do czasu wyrażał zachwyt, wydając dźwięk „baa-baa”.

Gdy przebrzmiała ostatnia zwrotka „Cichej nocy”, wybuchły oklaski. Louetta wraz ze swoimi małymi aktorami ukloniła się,

a potem przyjęła bukiet kwiatów od Josie Callahan. Robiła, co tylko w jej mocy, by uśmiech jej wyglądał szczerze. Gdy zauważyła konwalie w ozdobnej bibułce, otaczające pojedynczą różę, mimo woli poszukała w tłumie Burke'a. Biała koszula, ciemna marynarka, rozwichrzone włosy... Na chwilę wstrzymała oddech. Poczowała się tak jak wtedy, gdy ujrzała go po raz pierwszy - uległa, rozmarzona i pełna wzniosłych nadziei. I nagle usłyszała przeraźliwy krzyk Alexa, wołającego ojca i głos Jayne:

- Już idę, Alex. Już jestem, widzisz? Tata jest tutaj...

Ludzie odwrócili głowy i zaczęli przyglądać się płaczącemu dziecku.

Od hałasu i emocji Louetta dostała migreny. Twarz bolała ją od sztucznych uśmiechów. Ale najbardziej bolało ją serce. Wprost nie mogła się poruszyć. Na szczęście inicjatywę przejęła Isabell i skierowała wszystkich gości na zaplecze reprezentacyjnej sali ratusza, gdzie podawano ciasteczka i poncz.

Mali aktorzy szybko pozbyli się swoich kostiumów. Wkrótce poncz został wypity, ciastka zjedzone, a cichy szmer głosów dorosłych przerywały piski dzieci goniących się wokół stołów. Louetta powoli odzyskiwała równowagę. Nawet udało jej się uśmiechnąć do rodziców, którzy dziękowali jej za wspaniałe, zwieńczone sukcesem przedstawienie.

Nie zdawała sobie sprawy, że stanęła pod jemiołą, którą powieszono pod sufitem bez jej wiedzy. Zwrócił jej na nią uwagę dopiero Neil Anderson, głośno cmokając ją w usta. Zarumieniła się po same uszy. Nim się zorientowała, sześciu kawalerów czekało, by zrobić to samo.

- Na co ty czekasz? Na święta?

Burke najpierw podsunął Alexowi kubeczek z sokiem, a potem ze złością popatrzył na siostrę.

- Dlaczego nie podejdziesz i nie rozgonisz tych facetów?  
- powiedziała Jayne z wyrzutem. - Chyba bawi cię to przedstawienie! W przeciwnym razie pokazałbyś, kto ma do niej prawo, na litość boską!

Burke zacisnął dłoń na kubku Alexa. Oczywiście, że nie bawił go widok innych mężczyzn całujących Lily, nawet jeśli ci mężczyźni zachowywali się jak prawdziwi dżentelmeni i zdejmując kolejno kapelusze, cmokali Lily w policzek.

- Oni nie robią nikomu krzywdy, Jayne - odparł w końcu.  
- A ten rudowłosy na końcu jest bardziej czerwony niż Lily.

Jayne ze smutkiem potrząsnęła głową, nalewając sobie kolejną porcję ponczu.

Burke starał się nie patrzeć na kowbojów, którzy stali w kolejce, by pocałować kobietę, którą kochał. Ale nie był w stanie na długo oderwać wzroku od Lily.

Jakże była piękna! Czerwona sukienka owijała się wokół jej kolan za każdym razem, gdy się poruszyła, a w jej puszystych brązowych włosach odbijały się refleksy świetlne. Mężczyźni w Jasper Gulch w końcu ją zauważyli i lgnęli teraz do niej jak muchy do miodu. Ale, do licha, nadal byli ślepi! Z pewnością żaden nie zwrócił uwagi na ciepłe błyski w jej oczach oraz miękką gestykulację dłoni.

Burke pewien był, że wszyscy w mieście domyślą się, kto pomalował fasadę salonu kosmetycznego, gdy zobaczą dekoracje, które Lily wykonała na świąteczne przedstawienie. Ale nikt tego nie zauważył! Prócz niego, oczywiście.

Ktoś potracił ramię Burke'a. Odwrócił się i zobaczył Clive'a Hendricksa - kowboja, do którego od razu poczuł antypatię - w towarzystwie Keitha Gurskiego.

- To dziwne - powiedział z przekąsem Clive. - Ona wcale nie wygląda na taką zwyczajną, prawda?

- Gdybyśmy wiedzieli, że jest taka łatwa - odparł bełkotli-



wie Keith -już dawno temu lepiej byśmy się jej przyjrzeni. Ale ty, doktorku, od razu to zauważyłeś. Powiedz nam, skąd wiedziałeś?

Burke zdążył zacisnąć usta w wąską linię i zmrużyć oczy, gdy wtrącił się Cletus McCully.

- Dosyć, chłopcy - rzekł stanowczo, wsuwając kościste ramię pomiędzy Burke'a a dwóch pozostałych mężczyzn.

Keith i Clive, śmiejąc się głośno, odeszli chwiejnym krokiem. Burke nie należał do mężczyzn skorych do bójki, ale miał wielką ochotę pójść za nimi i kolejno rozkwasić im nosy.

- Nie zwracaj na nich uwagi - powiedział Cletus. - Są tylko mocni w gębie.

- Nie powinienem tu wracać - oświadczył z westchnieniem Burke, spoglądając znów na Louetteę.

- Być może tak. Być może nie.

Burke spojrział z uwagą w pomarszczoną twarz starego człowieka. Cletus strzelił z jednej szelki i zakołysał się na obcasach swych zużytych kowbojskich butów, specjalnie wyczyszczonych na tę okazję.

- Nie zrozum mnie źle, chłopcze - powiedział - ale masz spóźniony refleks. Może jednak dobrze, że wróciłeś.

W odległym kącie sali Louetta śmiała się właśnie z czegoś, co powiedziały Melody Carson i Lisa McCully. Ale bacznie ją obserwujący Burke miał pewność, że w oczach jej nie było uśmiechu.

- Na złamane serce kobiety i pogodę nic na ogół nie można poradzić - ciągnął Cletus. - A ta dziewczyna ma złamane serce.

- Myślisz, że o tym nie wiem?

- Pozwól, że dokończę. Nie mam pojęcia, co zaszło pomiędzy wami, ale to z twojego powodu Louetta ma smutek w oczach. Tak, to ty złamałeś jej serce.

Alex wyciągnął małą rączkę i sięgnął do krzaczastych wąsów

Cletusa. Stary mężczyzna zaczął udawać, że chce odgryźć mu palce, co malec skwitował chichotem.

- Chciałbym jej pomóc - powiedział Burke, poszukując wzrokiem Louetty. - Ale te kwoki wokół niej uniemożliwiają mi spotkanie z nią sam na sam. Nie wiem, co robić.

- Jediną osobą, która potrafi pomóc wówczas kobiecie - ciągnął Cletus, nadal drocząc się z Alexem - jest ktoś, kogo serce również jest złamane.

- Cóż więc mam zrobić?

- Dokładnie to, co robisz. Ukryj się w cieniu i czekaj. Poczekać, aż ona będzie gotowa. Ona dojdzie do siebie, tego jestem pewien.

- Skąd będę wiedział?

Stary mężczyzna znów strzelił z szelki i rozejrzał się wokół.

- Zobaczysz, że będziesz wiedział - rzekł z przekonaniem i dodał, chowając się za plecy Burke'a: - Zastój mnie! Chyba zauważyły mnie te piranie Cunninghamówny! Muszę uciekać.

Gdy Cletus zakosami ewakuował się z sali, Alex zapytał:

- Tatuś jest zły?

Patrząc w brązowe oczy Alexa, Burke przybrał łagodniejszy wyraz twarzy.

- Nie, kochanie. Jestem tylko zmartwiony. Co powiesz na powrót do domu?

- A przyjdzie dziś Mikołaj?

- Mikołaj dziś wieczorem nie przyjdzie. Mikołaj przychodzi tylko w Wigilię. - Pomyślał, że chyba powinien poczekać z opowieściami o Mikołaju i latających reniferach.

Burke rozumiał rozczarowanie chłopca. Wsadzając go do samochodu, zastanawiał się, czy stary Cletus McCully mógł mieć rację.

Czy postąpił dobrze, wracając do Jasper Gulch? A może

przepowiednie Cletusa okażą się równie fantastyczne jak latające renifery? Urocze, magiczne - ale czy prawdopodobne?

Co będzie, jeśli serce Lily nigdy nie zostanie uleczone?

Uruchomił samochód; wycieraczki z trudem zbierały kryształki lodu przylepione do szyby. Jadąc cichymi uliczkami Jasper Gulch, myślał o rumieńcach na policzkach Lily, gdy mężczyźni tłoczyli się w kolejce, by ją pocałować, i o tym uśmiechu, który nigdy nie dosięgał jej oczu.

A jeżeli Cletus McCully się pomylił? Może jednak nie powinien powracać do Jasper Gulch?

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Louetta po usłyszeniu gongu, sygnalizującego gościa wchodzącego do baru, podniosła wzrok, ale niepokój, który ostatnio ciągle jej towarzyszył, ustąpił na widok Lisy McCully. Przytrzymała drzwi przyjaciółce, która z naręczem pakunków z trudem przeciskała się przez nie.

- Liso, czy w twoim stanie powinnaś dźwigać? - powiedziała z wyrzutem.

Nim Lisa zdążyła odpowiedzieć, z drugiej strony ulicy rozległ się przeciągły gwizd i jak strzała przesyłał powietrze. Lisa oparła się o futrynę.

- Jestem w ciąży - powiedziała - ale nie jestem kaleką. A poza tym te paczki są lekkie. Isabell zleciła mi zadanie kupna prezentów dla potrzebujących. Mam nadzieję, że mogę je położyć pod choinką? - Uniosła jedną brew. - A tak przy okazji, kto to był?

Louetta wyjęła jej z rąk pakunki.

- Nie rozumiem?

Lisa dociekliwie patrzyła w szare oczy przyjaciółki.

- Ten facet po drugiej stronie ulicy - powiedziała. - Ten, który gwizdał...

- Och, ten - wymamrotała Louetta, układając prezenty pod choinką. Z sali na zapleczu dochodził gwar, ponieważ ludzie przychodzili na ostatnie w tym roku zebranie mieszkańców miasteczka. - Nie wiem... - dodała ciszej.

- Jestem pewna, że to nie było wycie wiatru. A teraz, gdy

jestem w zaawansowanej ciąży, bardzo wątpię, by ktoś gwizdał na mnie.

W oczach zwróconych na Louettę kryło się tyle samo ciepła, co trzy lata temu, gdy się poznały. O Boże, czy naprawdę minęły już trzy lata? Wiele się zmieniło od tamtej pory. Naprawdę wiele. Louetta zyskała przyjaciół i zakochała się. Obcięła włosy i zmieniła styl ubierania. Kupiła bar i opłakała dziecko, którego nigdy nie widziała, a potem przeżyła także śmierć ukochanej matki. Zajęła się malowaniem obrazów i nauczyła się prowadzić samochód...

Gong znów się odezwał. Clive Hendricks i Keith Gurski, którzy jak dotąd rzadko bywali na zebraniach, przeszli na zaplecze, po drodze zalotnie strzelając oczami.

- Jeśli to dla ciebie jakieś pocieszenie - odezwała się Lisa - wiem, jak się czujesz.

Louetta przypomniawszy sobie w okamgnieniu, jakie okropne rzeczy ludzie szeptali po kątach, gdy dowiedzieli się, że ojciec Lisy trafił do więzienia, a ona sama uciekła z domu. Z pozoru Lisa była gwałtowna i zuchwała, ale Louetta od razu dostrzegła jej wrażliwość. Dziś zauważyła w oczach przyjaciółki błysk zadawnionego bólu.

Oczywiście, nie wszyscy ludzie w Jasper Gulch byli źli i nie-szczerzy. Większość miała dobre, uczciwe serca. Louetta powtarzała sobie, że właśnie na tych ostatnich powinna się skoncentrować, ignorować zaś garstkę złośliwych plotkarzy.

- Może powinniśmy już tam wejść? - Lisa wskazała drzwi do sali na zapleczu, a widząc wahanie na twarzy Louetty, dodała tonem pocieszenia: - Niektórzy mężczyźni gwizdzą na każdą spódniczkę, ale oczywiście dużo gorzej mają dziewczyny bujniej przez naturę wyposażone, takie jak ty czy ja. Niektórym się wydaje, że kobiety z dużym biustem naprawdę lubią niegrzeczne zaczepki i wulgarne komentarze. Dzięki Bogu, że mężczyźni

już mnie nie interesują. Pomógł, oczywiście, ślub z Wyattem. Ale jeśli chcesz, by zaczepki całkiem ustały - dodała, z uśmiechem klepiąc się po brzuchu - postaraj się o coś takiego!

Łzy tak szybko napłynęły Louette do oczu, że z trudem udało jej się je powstrzymać. Na szczęście Lisa nic nie zauważyła. Louetta odwróciła się gwałtownie, postąpiła krok do przodu i nagle znalazła się oko w oko z Burke'em.

- Lily!

- Burke...

Obydwoje głośno wciągnęli powietrze raz, a potem drugi.

- Jak się masz? - spytała.

- Ostatnio w ogóle cię nie widywałem - powiedział niemal jednocześnie.

Wzruszyła lekko ramionami. Burke pomyślał, że chyba trochę schudła. Wyglądała na zmęczoną i zmartwioną. Z twarzy bił smutek, oczy wypełniały łzy.

- Byłam bardzo zajęta przygotowaniem świątecznym - odparła cicho.

Obydwoje znów umilkli. Niepewni, nie wiedzieli, co powiedzieć.

- Lily ja...

- Louetto! - zawołała Bonnie Trumble, siedząca w jednym z przednich rzędów. - Isabell cię poszukuje, kochanie.

Louetta postąpiła kilka kroków do przodu, zadowolona, że ma coś do zrobienia.

- Louetto! - zawołał Ben Jacobs. - Zająłem dla ciebie krzesło!

Ktoś inny zagwizdał i powiedział:

- Dlaczego Louetta miałyby siedzieć obok ciebie, skoro może usiąść obok mnie?

Strzępy komentarzy utrzymanych w podobnym stylu dochodziły do uszu Louetty. W pewnej chwili wydało jej się, że szmer

przeszedł przez tłum i wszystkie oczy skupiły się na niej. Zaczęła uważniej przyglądać się twarzom ludzi, których znała przez całe swoje życie. Kilku kawalerów uśmiechało się głupkowato, a nieśmiali i przyzwoici obserwowali teraz czubki swoich butów. Uśmiech Lisy McCully był czuły, a oczy jej promieniały zrozumieniem. Podobny wyraz miały twarze Melody i Dory Lee. Burke zaciskał ponuro usta. A Isabell patrzyła prosto przed siebie z zaciętym wyrazem w oczach.

Louetta najchętniej zapadłaby się pod ziemię. Kątem oka zobaczyła zbliżającego się mężczyznę. Zadrżała, na jej ciele pojawiła się gęsia skórka. Clive Hendricks zawsze był okropny, ale dziś wieczorem zachowywał się głośniejsz niż zwykle. W dodatku cuchnął piwem i starym dymem tytoniowym.

- Louetto, ładnie dziś wyglądasz - wycedził, uśmiechając się oblesnie. - Nie wyskoczyłabyś gdzieś ze mną, gdy zebranie się skończy? Może do motelu w Pierre? Co ty na to?

Burke postąpił do przodu. Gwar głośniejszy niż przedtem znów przeszedł przez tłum.

- Uspokój się - przestrzegli go Cletus McCully i doktor Massey równocześnie, chwytając go za łokcie. - Daj jej szansę. Niech poradzi sobie sama.

Z łatwością wyrwałby się z tego uścisku, ale świadomie pozostał w miejscu. Czekał i patrzył.

Naprzód, Lily, zachęcał ją w duchu, zaciskając dłonie w pięści i czując krew pulsującą w skroniach. Zrób jakiś ruch! Walnij go w twarz. Albo podejdź do bufetu, weź dzbanek z lodowatą wodą i wylej mu na głowę. Albo jeszcze lepiej - nalej mu ją w spodnie!

Luke Carson usiłował zaprowadzić porządek.

- Siadajcie! - zachęcał. - Czyż Boże Narodzenie nie jest czasem pokoju, Clive? Dlaczego ty i Keith nie weźmiecie sobie filiżanki kawy i nie usiądziecie?

- Może nie mamy ochoty siadać? - burknął Clive Hendricks, osiłek o kręconych włosach i beczułkowatej klatce piersiowej, którą demonstrował przy każdej okazji.

- Chodź, Louetto. Nie dąsaj się. Przecież nie proponuję ci niczego, czego nie proponował ci już ktoś inny.

Louetta wyraźnie pobladła. Clive przeniósł wzrok z morelowego sweterka Louetty na twarz Burke'a.

- Chyba wszyscy powinniśmy ci podziękować, doktorze, że stworzyłeś nam oczy. I nic dziwnego, że ani ty, ani Wes nie zamierzacie się z nią żenić. Jeśli się chce napić mleka, nie trzeba od razu kupować krowy! Ha, ha!

Burke wyswobodził się z rąk Cletusa i Maseya, by rzucić się na Hendricksa. Ale, o dziwo, Louetta zrobiła to pierwsza.

Louetta była równie zdziwiona swoim wybuchem, jak pozostali. Powtarzała sobie w myślach, że powinna wysoko nosić głowę i w żadnym razie nie zniżyć się do poziomu ludzi pokroju Clive'a. Przypomniała sobie, jak zerknęła na Isabell, której podbródek drgał, a na kościstych policzkach wystąpiły krwawe plamy. Przez ulotną chwilę żałowała, że nie ma tu jej matki. A potem coś w niej pękło - przeszła obok pustego krzesła, następnie dwóch kobiet ze Stowarzyszenia, wreszcie obok trzech ranczerów i w końcu znalazła się twarzą w twarz z podpitym kowbojem z nabiegłymi krwią oczami, który uśmiechał się tak, że robiło jej się niedobrze.

- O rany, Louetto, zaczyna mi się podobać twoje drugie, krewkie oblicze. - Clive uśmiechnął się do Keitha Gurskiego lubieżnym, obleśnym uśmiechem, który był zwiastunem następnych obrzydliwych zaczepk.

Nim jednak Clive zdążył zrobić coś więcej, jak tylko otworzyć usta, Louetta z całej siły uderzyła go wyciągniętym palcem w klatkę piersiową.

- A teraz ty mnie posłuchaj! - powiedziała. - Mam dość



twoich insynuacji, sprośnych komentarzy i spojrzeń. Wychowałeś się tutaj, twoi rodzice byli przyzwoitymi ludźmi. Gdyby teraz cię widzieli, umarliby ze wstydu.

Clive cofnął się o krok, ale Louetta nadal wbijała mu palec w piersi.

- W przyszłości spodziewam się po tobie lepszego zachowania - ciągnęła. - A teraz wynoś się z mojego baru! I nie wracaj tu bez przeprosin!

- Na litość boską, Clive! - krzyknął stojący za nim Keith Gurski. - Zamierzasz posłuchać takiej dziewczyny jak ona?

Trzask pięści Burke'a o kościstą szczękę Keitha rozległ się w całym pomieszczeniu.

- Czy nie jest trochę za późno, doktorze, na obronę honoru Louetty? - zawołał jakiś mężczyzna z sali. - Przecież to ty kilka lat temu wykorzystałeś okazję!

Rozmasowując prawą rękę, Burke odwrócił się na pięcie.

- To nie tak było - powiedział.

- A jak? Dlaczego nam nie powiesz, jak było?

Odelia Johnson, druga po Isabell Pruitt plotkara w mieście, skoczyła na równe nogi, przewracając krzesło. Przyłożyła rękę do obfitego biustu i krzyknęła:

- To skandal! Do czego to podobne, żeby tacy jak Clive i Keith przychodzili tutaj cuchnący alkoholem i pozwalali sobie na wulgarne odzywki do naszej słodkiej, nieśmiałej Louetty! I, proszę, biedne dziecko ma zszarpaną reputację. W dużej mierze to wina doktora Kincaida. Myślę, że panie z naszego towarzystwa powinny rozważyć bojkot jego praktyki, i jeszcze jedna sprawa...

- Odelio! - przerwała jej Isabell. - Przez całe życie byłaś dla mnie jak siostra, ale Bóg nie bez powodu dał nam jedne usta i parę uszu. Dzięki temu, zanim coś powiemy, możemy w dwójnasób słuchać.

Gdy osłupiała Odelia opadła na krzesło, Burke wysunął się

do przodu i dał znak braciom Carsonom, by poniechali prób zaprowadzenia na sali porządku.

- Dwa i pół roku temu - powiedział donośnym głosem - zobaczyłem tę kobietę o pięknych oczach i uśmiechu, który rozgrzałyby każdego mężczyznę, mimo wiatru szalejącego o tej porze roku w Południowej Dakocie. Wy wszyscy, mieszkańcy Jasper Gulch, mieliście ponad trzydzieści lat, by dostrzec jej piękno, ale nie zauważaliście tego, co było wypisane czarno na białym. A może powinienem rzec... wymalowane.

- Wymalowane? - rozeszło się po sali. - Masz na myśli...?

- Tak - powiedział Burke. - To Louetta Graham namalowała fresk na ścianie zakładu Bonnie Trumble. To ona ma artystyczne zdolności. I nikt z was tego nie zauważył!

- O Boże, Louetto? - Bonnie szeroko otworzyła oczy. - Naprawdę zrobiłaś to dla mnie?

- Chciałam tylko pomóc... - Głos Louetty zadrżał.

Burke powiódł oczami po twarzach obecnych tu ludzi. Nagle wszystko znikło i czuł tylko ucisk w gardle, przyspieszone bicie serca oraz natarczywy ból w prawej dłoni. Louetta patrzyła na niego jak zahipnotyzowana, z palcem nadal wysuniętym w stronę klatki piersiowej Clive'a. Z tej odległości oczy jej zdawały się być ogromne; włosy w nieładzie opadały jej na ramiona. Nie przypominała wróbla przycupniętego na brzeżku gniazda i zbierającego się do odlotu. To był orzeł szybujący w powietrzu.

- Sprawilem ci ból - powiedział ciszej. - Zrobiłbym wszystko, co w mej mocy, bo to naprawić. Ale wbrew temu, co twierdzą niektórzy, nigdy nie byłaś okazją, z której skorzystałem. Zakochałem się w tobie od pierwszego wejrzenia. I przyjmę wyzwanie każdego mężczyzny, który twierdzi inaczej! - Wyprostował ramiona, unióś podbródek, po czym wyzywającym spojrzeniem obrzucił zgromadzonych. - Powtarzam, jeśli ktoś chce podważyć reputację Lily, będzie musiał zmierzyć się ze mną!

Podniósł się szum. Do Louetty jednak ledwie docierał, całą bowiem uwagę skupiła na Burke'u. Ciemne spodnie, biała koszula, rozwiane włosy.

- Powtórz to. - Głos jej brzmiał tak, jakby brakowało jej tchu, ale był wystarczająco donośny, by dotrzeć do środka sali, gdzie stał Burke.

- Zmierzę się z każdym mężczyzną w tym mieście, jeśli będę musiał - powiedział, a grdyka drżała mu konwulsyjnie.

- Sama mogę zmierzyć się z mężczyznami - oświadczyła w przypływie śmiałości. - W porządku. Możesz mi pomóc, jeśli naprawdę chcesz. - W jej głosie brzmiało wyraźne wyzwanie, ale jej oczy miały łagodny wyraz, a na ustach błąkał się uśmiech, którego widok zapierał dech. - Czy tamtej nocy naprawdę się we mnie zakochałeś? - spytała.

Gdy skinął twierdząco głową, uśmiechnęła się szerzej.

- Oczywiście, że tak! - Naprawdę był szczęśliwy, że żyje. I to szczęście rozchodziło się po jego ciele radosną, ciepłą falą. Miał wielką ochotę wziąć ją na ręce i zanieść w jakieś odległe, spokojne miejsce, gdzie byłiby tylko we dwoje. Najpierw jednak musiał zrobić coś jeszcze, na co czekał ponad dwa lata.

Przemierzył dzielącą ich przestrzeń jednym susem i przyklęknął na kolano, podobnie jak miesiąc temu zrobił to w tym samym miejscu Stryker, po czym sięgnął po jej smukłą dłoń.

- Wiem, że nie jest to pierwsza propozycja małżeńska, którą ci złożono, ale pierwsza ode mnie. Wyjdiesz za mnie, Lily? Czy zostaniesz moją żoną, partnerką i przyjaciółką?

Łzy zawisły na jej rzęsach, a potem wolno spłynęły w dół gładkich, bladych teraz policzków. I wreszcie uśmiechnęła się najpiękniejszym uśmiechem, jaki kiedykolwiek widzieli mieszkańcy Jaspser Gulch.

Zgromadzeni poruszyli się niespokojnie na krzesłach. Wszyscy byli wzruszeni. Siedząca z tyłu Isabell Pruitt wydmu-

chała nos w chusteczkę. Clive i Keith ze wstydem na twarzach wyslizgnęli się przez tylne drzwi. Zimne powietrze wpadło do sali i poruszyło włosami Lily.

- Wyjdiesz za mnie? - powtórzył Burke.

Gdy Louetta skinęła wreszcie głową, w tłumie rozległy się okrzyki radości.

- Kiedy? - spytał Burke, podnosząc się z klęczek.

- Zawsze marzyłam o ślubie na Boże Narodzenie - odparła z sercem przepełnionym miłością. Czuła, że oczy znów zaczynają jej wilgotnieć.

- Masz na myśli te święta? Czy może następne?

- Och... - Delikatnie położyła rękę na jego policzku. - Nie sądzę, bym mogła czekać aż do kolejnych świąt.

- Wygląda na to, że zagramy na kolejnym weselu - powiedział z odcieniem żalu jeden z braci Andersonów.

- Czy potraficie grać ludową muzykę? - spytał nieoczekiwanie Burke.

Cletus McCully strzelił z szelki, a doktor Masey wyjął z kieszeni chusteczkę i zaczął przecierać okulary. W tym momencie Lisa McCully nagle głośno jęknęła.

- Przepraszam, że przeszkadzam - powiedziała, gdy wszyscy zwrócili na nią oczy. - Chyba się zaczęło...

- Rodzisz? - zapytał z niedowierzaniem Burke.

- Kiedy coś naprawdę się zaczyna, po prostu się wie - odparła.

Burke i Louetta wymienili między sobą spojrzenia.

- Wielkie nieba! - krzyknęła Isabell Pruitt. - Zebranie zostaje odroczone!

- A gdzie podziewa się twój mąż? - spytała dociekliwa Odelia Johnson.

- Wyatt jest na szkoleniu policyjnym w Pierre. - Kolejny skurcz przykuł Lisę do krzesła. - Och!

- Panowie doktorzy, nie stójcie tak jak malowani! - zarządziła Isabell. - Zabierzcie tę kobietę do szpitala.

- Starzeję się - rzekł na to doktor Masey. - Myślę, Burke, że sam sobie poradzisz, co?

- Idę po torbę!

- Ja poprowadzę - wtrąciła Louetta.

Wszyscy spojrzeli na nich z zainteresowaniem. Ale Burke i Louetta widzieli teraz wyłącznie siebie. Hałas w pomieszczeniu osiągnął szczytowy poziom, ponieważ szurano krzesłami, wykrzykiwano różne polecenia, a kawalerowie, tupiąc nogami, spieszyli do Crazy Horse Saloon, aby tam wychylić kieliszek. Mogli tylko pluć sobie w brodę, że pozwolili wymknąć się Louecie Graham.

Isabell i Odelia pomogły Lisie opuścić salę.

- Louetta i Burke długo czekali na tę chwilę - powiedziała ze zrozumieniem Lisa. - Moja mała Rose może poczekać jeszcze minutkę...

Wreszcie Lily i Burke pozostali całkiem sami.

- Wiedziałeś, że Lisa i Wyatt zamierzają dać dziecku na imię Rose? - Tyle było rzeczy, które Louetta chciała mu powiedzieć, ale teraz tylko te słowa przysły jej do głowy.

Burke skinął głową.

- Ja dla naszej pierwszej córeczki zarezerwowałem imię Lily - powiedział.

- Och, Burke!

Ich spojrzenia skrzyżowały się, a usta natychmiast się odnalazły. Z początku pocałunek był niczym muśnięcie w powietrzu, ale z wolna stawał się coraz głębszy, coraz bardziej namiętny. Zranione serca zostały uleczone i połączyły się w jedno, spełniając dawno temu dane obietnice.

- Gdy będziesz odbierał poród Lisy - szepnęła Louetta Burke'owi do ucha - chciałabym posiedzieć z Alexem...

- Wiesz, nie potrafię nawet wyrazić, jak bardzo się cieszę, że tamtej nocy skończyła mi się benzyna w Jasper Gulch.

Przez moment obydwójce wyobrazili sobie, jakie smutne byłoby ich życie, gdyby to się nie wydarzyło. Burke nigdy nie zaznałby prawdziwej miłości. Louetta nigdy nie poznałaby Burke'a...

- I nie wiem, jak uda mi się wytrzymać następny tydzień bez ciebie...

- Hmm - chrząknęła Isabell, stojąca w drzwiach.

Louetta obdarzyła Burke'a słodkim, pogodnym uśmiechem.

- Na wszystko przyjdzie czas, Burke - powiedziała łagodnie. - Nasza historia dobitnie świadczy, że czekanie się opłaca.

Pospiesznie, nic nie mówiąc i trzymając się za ręce, Wyszli na zimne grudniowe powietrze.

Płomienie świec ustawionych w głównej nawie małego białego kościoła drżały, rzucając złotawy blask na długą kremową suknię Louetty i białą, wykrochmałoną koszulę Burke'a. Na parapetach okiennych stały w rzędach czerwone poinsecje, a kolumny zdobiły sosnowe gałązki i czerwone kokardy.

Kameralną i bardzo wzruszającą ceremonię przerywały jedynie raz po raz donośne krzyki małej Rose McCully.

Nikomu nie przeszkadzał fakt, że przez cały czas Burke trzymał na rękach Alexa.

- Czy ktoś by pomyślał - szepnęła w pewnej chwili Edith Ferguson - że nasza droga Louetta poślubi lekarza?

Doktor Masey i Isabell Pruitt odpowiedzieli jednocześnie:

- Zawsze o tym wiedzieliśmy.

Doktor uniósł brwi, a Isabell zarumieniła się aż po nasadę siwych włosów. Cichy śmiech Cletusa McCully zmieszał się z odgłosem dzwoneczków u sań i sykiem Odellii Johnson, która uciszała zgromadzonych gości.

Chwilę później wielebny Jones zapytał:

- Czy ty, Burke'u Kincaidzie, chcesz wziąć naszą drogą Louettę Graham za swą prawowitą małżonkę?

Łzy zabłysły w oczach Louetty, gdy Burke pewnym głosem odrzekł:

- Tak.

Cletus szturchnął siedzącego obok Wesa Strykera i szepnął pocieszająco:

- Nie bierz sobie tego zbyt do serca, chłopie. Przyjedzie więcej kobiet do Jasper Gulch, zobaczysz.

- Czy ty, Louetto Graham - pytał z kolei wielebny Jones - chcesz wziąć za męża tego oto Burke'a Kincaida?

- Tak - powiedziała Lily tak cicho, że goście musieli wyteńczyć słuch, by ją dosłyszeć.

- Wes? - szepnął znów Cletus.

Jednak Wes nie poruszał się, nie odpowiadał, niemal nie oddychał. Cletus podążył za jego wzrokiem i uśmiechając się tajemniczo, zaczepił kciuk o jedną szelkę. Wyglądało na to, że Wes nie płakał za Louettą, przez cały bowiem czas wpatrywał się jak sroka w kość w siostrę doktora Kincaida.

- Już niedługo znowu się tu spotkamy - mruknął z zadowoleniem Cletus McCully do siedzącego po jego lewej ręce doktora Maseya, po czym odwrócił się do Wesa siedzącego po jego prawej ręce i szepnął: - Zobaczysz, że całkiem niedługo znowu się tu spotkamy.